№ 17. Warszawa, dnia 23 (11) Kwietnia 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Dzieło Morgana **Społeczeństwa pierwotne**, którego druk został ukończony, w tygodniu przyszłym, poczynając od środy, rozesłane będzie tym abonentom z prowincyi, którzy się na nie zapisali. Zaznaczamy, że dotąd kosztuje rs. 3, po wyjściu rs. 4.

POLITYKA.

ŚWIEŻA KWESTYA.

Zdaje się — jeżeli naturalnie jakiś Boruta dyplomatyczny figla nie spłata i w inną stronę uwagi nie zwróci — że Afganistan będzie miał teraz zaszczyt wyrabiania różnych „kwestyj" i naciągania „chmur na widnokrąg Europy." Nie jest dotąd całkowicie jasnem, na jaką drogę tam wypadki się skierują, a nawet — jakie żywioły miejscowe się starły; ale i w tym tumanie odróżnić już można stojące naprzeciwko siebie: Anglię i Rosyę. Nowy ten akt starych zapasów rozpoczął się zbrojnym buntem plemienia ghilzajów, usiłujących pokonać i wypędzić emira Abdurrhamana. Próbowali oni już złamać wpływ angielski w r. 1880 pod przewodnictwem czarodzieja Mollaha Muszk-i-Allema, ale gdy ten odstąpił od przedsięwzięcia (a niedługo spoczął na łonie proroka) i gdy Ejub chan uległ w walce Abdurrhamanowi, ghilzajowie również ukorzyli się przed zwycięzcą w nadziei, że złoto angielskie, które jego torbę napełniło, i po ich kieszeniach obficie się rozpłynie. Widocznie wszakże nadzieja ta zawiodła ich, gdyż wypowiedzieli posłuszeństwo chciwemu władcy i jego bogatym opiekunom.

To kółko miejscowe obracają pasy wielkich kół polityki europejskiej. Pomiędzy Rosyą a emirem Afganistanu, popieranym przez Anglię, trwa od r. 1873 niezakończony dotąd spór o kawałek żyznej ziemi, dolinę Khamiab. Z obu stron długo rozpatrywali na miejscu tę sprawę osobni komisarze, którzy jednak nie doszli do żadnego porozumienia. Z początku — jak zwykle— Anglia groziła stanowczym oporem, ale powoli miękła, zwłaszcza gdy jej na groźbę odpowiedziano przekonywującą groźbą, że „wojska rosyjskie mogą rychlej stanąć pod Heratem, niż angielskie dojść do Kabulu lub Kandaharu, a staną pod Heratem w takiej sile, iż miasto to, mimo świeżo dokonanych obwarowań i wzmocnienia załogi, oprzeć im się nie zdoła." Pod wpływem tej przestrogi gazety londyńskie zaczynają przebąkiwać o potrzebie ustępstwa, a niedługo może usłyszymy stamtąd zapewnienie urzędowe, że „sfera interesów brytańskich nie została jeszcze naruszona." Zachodzi tylko wątpliwość, czy gabinet lorda Salisburego, mocno poderwany oburzeniem na bil irlandzki, utrzyma się po przegranej w Afganistanie; niedalekim nawet od prawdopodobieństwa jest domysł, że konserwatystom umyślnie przygotowano w chwili krytycznej ten kłopot, ułatwiający liberałom i Gladstone'owi tryumf i powrót do władzy. Oto jest ów pas kół wielkich.

Nic o nim nie wiedzą naturalnie ani ghilzaje, ani Abdurrhaman, który nassawszy się krwi ludzkiej, jak pijawka, jak ona zniedołężniał, powiedzmy wyraźniej—zgłupiał. Wydał on odezwę do narodu pełną bzdurstw, kłamstw czy chorobliwych przywidzeń, a nadewszystko nieprzyjaźni dla— sojuszników... „Przyjemnie mi — pisze on w obszernej gadaninie do swych poddanych — donieść wam, co się zdarzyło braciom waszym w Turcyi, którzy posłuszni są i wierni swej religii i państwu a działają mądrze. Książka ta zawiera wskazówki, mające naprowadzić was na drogę właściwą, powinniście tak postępować, ażebyście w tym świecie pozyskali szacunek a w przyszłym nagrodę." Po tym wstępie opowiada narodowi, że przeszłego listopada sułtan turecki zwołał do siebie urzędników wojskowych i cywilnych i oświadczył im, że w dawnych czasach było hańbą łamać traktaty, gdy jedno państwo dopuściło się tego, występowały przeciw niemu inne; dziś polityka stała się mianem niedotrzymywania umów a przyjaźń zamieniła się na oszukaństwo; trzeba przeto strzedz się niewiernych, zwłaszcza że mocarstwa wypowiedzą sobie wojnę. Oficerowie wysłuchawszy rady sułtana, rozpisali listy do swych okolic, a 18 grudnia zebrali się znowu i oznajmili sułtanowi, że naród gorąco sobie życzy, ażeby uzbrojono milion żołnierzy kosztem 10% dochodów państwa; jeżeli zaś wybuchnie wojna święta, wszyscy służyć będą w szeregach bezpłatnie. Skutkiem tego węzeł przyjaźni między Turcyą a Rosyą wzmocnił się.

Koniec tej dziwnej odezwy jest największą jej niespodzianką; emir bowiem, wasal i przyjaciel Anglii, wykłada swym poddanym sposoby połączenia się z Rosyą. Na którą więc właściwie stronę on się przechyla? Gazety rosyjskie zrobiły niepozbawioną podstawy uwagę, że właściwie Abdurrhaman zwraca się przeciwko Anglii, czego ona wcale nie oczekiwała. Ale radę ma. Jeżeli zgrzybiały i półobłąkany tyran istotnie nic przedstawia żadnej rękojmi w służbie, wyda go nałup ghilzajom a szterlingi, które już pewnie płyną po morzach na pole walki, dostaną się komu innemu. Jak wszakże John Bull poradzi sobie z Rosyą, która w przypuszczalnem starciu roli swej się nie zrzeknie i ciągle do owego pastewnika Khamiabu pretensyę rości? To już musimy pozostawić sprytowi kupca, poprzestając tylko na zaznaczeniu, że on objawił gotowość do układów i bijatyki nie pragnie.

A Europa ma świeżą kwestyę — afganistańską.

PRECZ Z WOJNĄ!

W chwili, gdy polityczna atmosfera Europy, przeciążona elektrycznością, żąda wyładowania jej zapomocą szczęku skrzyżowanych oręży i grzmotu armat, sensacyjna broszura Schaefflego *), mająca na celu zażegnać burzę, wywołuje żywe zaciekawienie. Jaki wzrost długów państwowych i podatków wywołałaby wojna w czterech głównych mocarstwach Europy? Odpowiedź na to pytanie może, podług autora, najskuteczniej przytłumić zapał wojenny. Wojna francusko-pruska kosztowała Francyę nie mniej, niż 12 mil. marek, wojna secesyjna w Ameryce więcej niż 10 mil. m. Cyfry te są jednak niczem w porównaniu ze stratami, jakieby pociągnęła za sobą obecnie zamierzona walka. „Jesteśmy — mówi Sch.— nadzwyczaj umiarkowani, obliczając je na 30 mil. m. Suma ta byłaby zapłaconą w razie klęski przez zwyciężonego. Gdyby zaś zwycięztwo nie przechyliło się na żadną stronę, każde z czterech państw poniosłoby ćwierć jej“ (str. 13). Spowodowałoby to olbrzymi wzrost podatków, które i bez tego już niesłychanie obciążają ludność, wynoszą bowiem dla mieszkańca:

w Niemczech	15 mar.
w Austryi	21 „
we Francyi	50 „
w Rosyi	12 „

Stosunkowo więc do zamożności opodatkowanych, Niemcy ponoszą ciężary najlżejsze. Stąd autor wyprowadza wniosek, iż one powinny się chętnie zgodzić na siedmiolecie, gdyż to ich zbytecznie nie obarczy, a koszta stąd płynące będą stanowiły tylko 3% tej straty, jaka im grozi w razie niepowodzenia w wojnie z Francyą. Z drugiej strony Niemcy powinny się zbroić jeszcze i dla tego, iż ilość wojsk, które w razie wojny mogą wystawić wraz z Austryą, nie przenosi 7 mil., Rosya zaś wraz z Francyą mogą postawić więcej, niż 14 mil. osób.

Są jeszcze naiwni, którzy wzdychają do powszechnego rozbrojenia. „Gdy nam brak myśli, słowo przychodzi zwykle w samą porę dla zakrycia próżni.“ Tak samo powyższe życzenia: nie są one niczem więcej nad zwykły, dźwięczny frazes. Bo cóż to znaczy rozbrojenie? Może ono się odbyć nie inaczej, niż pod warunkiem, że Niemcy zwrócą Francyi Alzacyę i Lotaryngię. „Nikt jednak nie ma prawa narzucać nam tej restytucyi, my zaś nie mamy obowiązku wykonywania jej. Przeciwnie, cały naród niemiecki ma prawo, a tembardziej obowiązek zawładnięcia częściami ciała germańskiego, które nam niegdyś oderwano“ (str. 30). Nietylko więc mowy być nie może o rozbrojeniu, lecz każde państwo do tego stopnia będzie rozwijało swą potęgę militarną, jakiego będzie wymagało jego osobiste bezpieczeństwo, zagrożone obecnie przez wojnę wschodnią i wojnę odwetową.

Poglądy autora, niegdyś ministra austryackiego, na kwestyę wschodnią odznaczają się oryginalnością i znajomością rzeczy. Polityka angielska, według niego, dąży do tego, aby zwyciężyć Rosyę, nie wystawiając ani jednego żołnierza i nie tracąc ani szeląga — jedynie dzięki ofiarom, czynionym przez inne państwa. Nadzieje jej są jednak, obecnie przynajmniej, płonne. „Bo czyżby Austrya zdecydowała się ponieść olbrzymie wydatki, którośmy wyżej obliczyli jedynie po to, aby nie dopuścić Rosyi do Bułgaryi, lub nawet po to, aby zagrodzić jej flocie wolną komunikacyę pomiędzy morzem Czarnem a Śródziemnem? Nigdy... Istnieje jeden wspólny interes dla Austryi z jednej strony, a dla wszystkich innych państw, nie wyłączając Rosyi, z drugiej, mianowicie: ażeby na obecnem terytoryum Turcyi wszystkie ucywilizowane narody mogły z równemi prawami krążyć i prowadzić handel, ażeby droga, prowadząca do Indyj wschodnich, Azyi i Afryki, stała otworem dla wszystkich na jednakowych warunkach.“ Autor dowodzi tego twierdzenia w następujący sposób. „Mogłyby zdarzyć się tylko dwa wypadki, w których kwestya wschodnia nie miałaby żadnego innego rozwiązania prócz wojny. Pierwszy nastąpiłby wtedy, gdyby jakiekolwiekbądź państwo — Anglia, Francya lub Rosya — zaczęło panować na morzu Śródziemnem, jako na jeziorze, stanowiącem wyłączną jego własność, tj. gdyby którekolwiek zechciało rościć pretensye do wyłącznej kolonizacyi wschodnich terytoryów, oblanych przez to morze. Drugi wypadek urzeczywistniłby się wtedy, gdyby jedno z państw zajęło zbrojnie kanał Sueżki i Dardanele i gdyby zarazem odmawiało dostępu do nich wojennym i handlowym okrętom obcym.“ Gdyby jednak którekolwiek z mocarstw zechciało postawić jeden lub drugi z powyższych powodów do wojny, reszta złączonemi siłami dążyłaby do zachowania spokoju i swobody dróg: Anglia dla Indyj, Francya dla 18 milionów indochińczyków, którzy się obecnie znajdują pod jej zwierzchnictwem, Niemcy dla kolonij w Afryce wschodniej i nakoniec Włochy dla kolonij na morzu Czerwonem, a wszystkie państwa razem dla Chin, które wywożą olbrzymie ilości herbaty przez Suez. Żaden więc z powyższych dwu powodów do wojny nie może wystąpić na jaw, „gdyż wszystkie państwa mają jednakowy interes w tem, aby zneutralizować te dwa ogniska, z których mógłby wybuchnąć nowy pożar na wschodzie, aby zneutralizować każdą wschodnią część morza Śródziemnego i zapewnić wolny dostęp dla wszystkich.“ Co się zaś tyczy tej okoliczności, że Rosya wywiera przeważający wpływ na Bułgaryę, a nawet w Konstantynopolu, jest to kwestya drugorzędnej wagi, która w żaden sposób wojny wywołać nie może. „Nie jest to żaden frazes. Handel, prowadzony obecnie z krajami wschodnimi, należącymi do Turcyi, i z Egiptem, wcale nie jest przykuty do jednego miejsca, do Konstantynopola; są jeszcze inne drogi w znacznej liczbie na północ i południe od Rumelii. Ten handel międzynarodowy wraz z tym, który się odbywa przez Suez, obejmujący całą północną, wschodnią i zachodnią Azyę, jest olbrzymim w porównaniu do minimalnych interesów, któreby zagrożone zostały przez przeważający wpływ Rosyi w Bułgaryi.“ Wojna tedy wschodnia wybuchnąć nie może, co się zaś tyczy odwetowej, to z chwilą, gdy Francya utworzyła kolonie w Tunisie, Algeryi, Madagaskarze i Indo-Chinach, gdy zdobyła sobie 23 milionów nowych poddanych, „może ona już zdjąć żałobę po Alzacyi i Lotaryngii i zdejmie ją we własnym interesie, gdyż siły jej są i pozostaną zajęte w Afryce i Azyi“ (str. 39). „Tak więc — kończy autor — można się spodziewać, iż tak samo wojna wschodnia, jak i zachodnia, przestaną nam grozić. Ze wschodu właśnie będzie przyświecać pochodnia międzynarodowego spokoju i oślepiające jej światło rozproszy ciemne chmury odwetu, który marzy o powtórnem zabraniu Niemcom tych prowincyj, niegdyś im oderwanych. W każdym jednak razie powinniśmy się trzymać w pogotowiu na wszelką ewentualność, tj. wzmacniać swe uzbrojenia.“

Spodziewajmy się więc spokoju, lecz gotujmy się do wojny! *)

Leon W.

*) *Pas de guerre.*

*) Stara śpiewka, a wyznajemy przytem, że w tych rojeniach nie odgadlibyśmy nigdy znakomitego ekonomisty. *Red.*

---

1)

DACHÓWKA.

OSOBY:

URBAN LIMSKI.
JANINA, jego żona.
HELENA, jej siostra.
PAWEŁ ZDZITEK.

SCENA I.

Urban i *Paweł.*

Urban.

Mój Pawle, gdybym był kobietą, rozgniewałbym się na ciebie za tę nieśmiałość. Czaisz się do mnie, jak do dropia — ty, który zawsze byłeś dla nas w szkołach wzorem odwagi.

Paweł.

Gdyby tobie życie pogasiło tyle nadziei, potargało tyle marzeń, gdyby cię tak nielitościwie przewlekło po cierniach, a nadewszystko tak osmagało pychą i wzgardą ludzi, którzy na huśtawce losu szli w górę, kiedy ty spadałeś na dół — zrozumiałbyś moją ostrożność nawet względem ciebie.

Urban.

Na tej huśtawce podskoczyłem w górę, zostałem dyrektorem fabryki? Dobrze, ależ, mój przyjacielu, to jeszcze nie powód, ażebyś z dołu nie mówił do swego kolegi śmiało i szczerze. Przestań więc obchodzić mnie zdaleka i powiedz otwarcie, czem ci służyć mogę.

Paweł.

Obawiam się, ażeby to nie była zasługa za ciężka.

Urban.

No, przecież nie będziesz żądał, ażebym rozwiódł się z moją Janinką i tobie ją oddał?

Paweł.

Tyś śmiały, boś wesół, ja zaś...

Urban.

Człowieku, nie marudź, muszę już iść do biura, a chciałbym ci dziś dopomódz. Milczysz? Czyś ty wyznawał kiedy miłość kobiecie?

Paweł.

Aż dwu: matce i siostrze, które muszę utrzymywać, a nie mam z czego.

Urban.

Ostatecznie więc?

Paweł.

Już ci powiedziałem: nie mam z czego utrzymać matki, siostry, no — i siebie. Przedsiębiorstwo, przy którem dotąd pracowałem, będzie zwinięte.

Urban.

Zatem poszukujesz innego miejsca?

Paweł.

Właśnie przyszedłem cię o nie prosić.

Urban.

Teraz rozumiem. Nie taję, że przedstawia to dla mnie pewną trudność.

Paweł.

W takim razie zapomnij o mojej prośbie.

Urban.

Ależ nie zwijaj się jak jeż i słuchaj. Od trzech miesięcy dopiero jestem dyrektorem fabryki, a już umieściłem w niej wuja żony i jednego z przyjaciół, a nadto wstawiłem się do zarządu o zajęcie dla pewnego biedaka; gdybyś więc mógł poczekać...

Paweł.

Nie, nie — zrzuć mnie sobie z głowy i przebacz, żem ją chciał nowym kłopotem obciążyć.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Grzmoty azyatyckie rozlegają się mocno w ciszy europejskiej. Ghilzaje pobili wysłane przeciwko nim wojsko emira. Wypadek ten na tle powikłań dalej sięgających zajmuje uwagę powszechną, której pora świąteczna nie dostarczyła posilnego a zwłaszcza drażniącego materyału. Prasa dotąd jeszcze zamieszcza artykuły z palca ssane, nawiązując do obchodu wielkanocnego najprzeróżniejsze sprawy.

Pewne wszakże roboty dyplomatyczne już się zaczęły obiegiem kół błędnych. Rząd włoski jeszcze raz tupnął nogą i pogroził abisyńczykom zemstą za śmierć „dzielnych żołnierzy“ pod Massawą. Prusy po świątecznym odpoczynku zabrały się do karczowania swych kresów wschodnich i zachodnich, naostrzywszy pługi i napełniwszy siewniki giermanizacyi. Projekt ugody z kościołem katolickim wejdzie pod obrady sejmu. Ponieważ ks. Bismark nie chce usunąć wszystkich gruzów ustaw majowych, centrum miało żądać ustępstw gruntowniejszych, ale papież pod adresem arcybiskupa kolońskiego upomniał je, ażeby nie marnowało strzałów w jego obronie, gdyż jest z kanclerza całkiem zadowolony. Wogóle przyjaźń owych *ambo meliores* jest rozrzewniającą. Bismark przy każdej sposobności sławi Leona XIII, a Leon XIII—Bismarka, który bardzo się krzywi, gdy mu przypominają z przed 10 laty wzmiankę o „Kalchasie.“

Gazety rozpuściły wieść, że „ojciec św.,“ ośmielony tą przyjaźnią, chce ją wyzyskać na korzyść swej władzy świeckiej, w której zadowolniłby się języczkiem kraju wzdłuż Tybru do morza, oraz że w przystępie szczęśliwości postanowił pogodzić Niemcy z Francyą. Pogłoskom tym zaprzeczono a dziwić się trzeba, że one nawet przez kilka dni żyć mogły. Ks. Bismark waży niewątpliwie i w Kwirynalu, ale sparzyłby on sobie tam palce, gdyby je wsadził w interesie „dobrowolnego więźnia.“ Z takiem pokuszeniem włosi by nie żartowali. Co zaś do zbratania dwu wrogów, każdy z nich mógłby pośrednikowi odpowiedzieć słowami Heinego: przebaczę moim nieprzyjaciołom, jak tylko będą wisieć.

Izba gmin angielska przyjęła w drugiem czytaniu bil irlandzki. Jeżeli olbrzymi meeting przeciwrządowy w Hyde-Parku był wyrazem opinii większości kraju, gabinet Salisburego powinienby zacząć pisać swój testament.

Wielostronna odmowa udziału w przyszłej wystawie paryskiej tłomaczona była jako znak niewiary w pokój trwały. Obecnie dzienniki prostują tę wiadomość wyjaśnieniem, że ani Rosya, ani Austrya, ani Włochy, ani nawet Niemcy nie zdecydowały się jeszcze w tej sprawie.

Najcharakterystyczniejszym rysem obecnego położenia, a raczej próżni politycznej są spory akademickie organów urzędowych. Kłócą się oficyały (a obok nich i prywatni zapaśnicy) o datę zwrotu Austryi ku wschodowi, o rodzicielstwo „kulturkampfu,“ o „szczerość“ polityki niemieckiej itp. Są to bardzo długie rozprawy *de lana caprina*, które kraszą wodną zupkę gadanin prasy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ZA KULIS.

Rudnicki: *Pogadanki o rozwoju klasy rzemieślniczej w Królestwie Polskiem.* Warszawa, 1887.

Książkę p. R. zaliczyć musimy do nader rzadkich u nas objawów; broni ona wolności zarobkowania wobec kiełkujących chęci spętania rzemiosła ustawami cechowemi. Nie będziemy wykazywali wartości naukowej wywodów autora, ani roztrząsali jego żądań praktycznych. Coś innego, a mianowicie odwaga i śmiałość, z jaką p. R. zdziera osłonę, co okrywa działalność warszawskiego Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu, pociąga naszą uwagę. Był on sam członkiem Towarzystwa, przyjmował bardzo czynny udział w jego pracach, jest autorem pytań, rozesłanych przez „ankietę“ rzemieślniczą dla zbadania stanu rzemiosł, wreszcie zasiadał w wyłonionej na ten cel delegacyi. Po walce nadaremnej z panującym kierunkiem usunął się, czyli raczej został wypuszczony jako zawada niepotrzebna. Gdy inni woleli milczeć, powiadając: „przekonań moich nie zmieniłem, ale wszystko jedno — z tego nic nie będzie, więc nie chciałem narażać się,“ p. R. nie dał za wygranę; usunięty z delegacyi, wystąpił publicznie z obroną swych poglądów i z wykazaniem zakulisowych spraw w Towarzystwie. Pomimo kilkutygodniowego życia broszury jego, nie napotkaliśmy dotąd urzędowego zaprzeczenia ze strony Towarzystwa; dopóki więc to nie nastąpi, musimy uważać zarzuty za słuszne.

Autor traktuje tę instytucyę wprost jako koło koteryjne. Królestwo Polskie, nie mając wyższych zakładów naukowych, do roku 1863 musiało poruczać wiele obowiązków ludziom bez odpowiedniego wykształcenia; wypadki 1863 r. jeszcze więcej przyczyniły się do utrzymania takiego stanu rzeczy. „Utworzyło się nad naszem społeczeństwem mocno zbudowane sklepienie ciemnoty umysłowej i wytworzył się kult samouczków, gardzących wszelką wiedzą i nauką, jako rzeczami zbytecznemi... We wszystkich instytucyach publicznych lepsze posady zajmują protegowani, a każdy pracownik sumienny i znający swoją rzecz, jest przygotowany na to, że w każdej chwili może go zastąpić i pozbawić chleba pierwszy lepszy drugoklasista, protegowany przez arystokracyę. U nas, mając protekcyę, można być wszystkiem, chociażby prezesem towarzystwa naukowego lub dyrektorem kolei, nie skończywszy nawet gimnazyum.“ Zapanowanie „koteryi“ w społeczeństwie przybiera coraz szersze rozmiary i coraz głębiej zapuszcza szpony, rozdzierające nasz organizm społeczny; zaraza szerzy się szybko, wytwarza się nawet nowa grupa pisarzów, którzy „walczą w imię postępu z tym warunkiem, żeby i nadal nasze społeczeństwo nie myślało o rozerwaniu pęt umysłowych i moralnych, w których trzymają je wszechwładnie ludzie sprytu.“ Jednym z celów najgłówniejszych jest tu zatamowanie rozwoju społeczeństwa z dołu. „Dla tego też w składzie Towarzystwa popierania przemysłu napotykamy ludzi rozmaitych zawodów i stanowisk społecznych, którzy pospieszyli do obrony zagrożonego punktu, rozumiejąc, że instytucya majstrów cechowych jest jedną z cegiełek pierwszego sklepienia i że przez wyłamanie jej i zaprowadzenie natomiast szkół fachowych i wolności pracy może się przedrzeć promyk światła w nasze średnie i niższe warstwy społeczne, a ogół pomyśleć o wydobyciu się z pod wpływu koteryi.“ Gdy autor w jednej ze swych pogadanek w Resursie Obywatelskiej stanął w obronie wolności zarobkowania, wywołał wielki popłoch wśród majstrów cechowych i tak obruszył Towarzystwo, że urządziło ostentacyjne posiedzenie w celu sprostowania poglądów prelegenta i wystąpiło — według słów ks. Chełmickiego — „przeciwko skrajnym dążeniom do niwelacyi społecznej, niewłaściwej naszemu narodowi.“ Wogóle „zarząd Towarzystwa od początku swego istnienia rozwinął wielką sprężystość w tym celu, aby bez jego zezwolenia i wbrew jego osobistym przekonaniom, nie wolno było podnosić żadnych myśli.“

Po zaznaczeniu stanowiska p. R. względem Towarzystwa, przystępujemy do skre-

---

Urban.

Ach, nie bądź dziwakiem. Kiedy kończysz dotychczasową robotę?

Paweł.

Za miesiąc.

Urban.

Za miesiąc tedy zgłoś się do mnie, wynajdę ci zajęcie tymczasowo w biurze technicznem, a później posadę stałą. Teraz idź do fabryki, tam sprawę rozpatrzymy bliżej. Ja tylko pożegnam się z żoną, która jest trochę niezdrowa. No, czy jeszcze nie?

Paweł.

Owszem — dziękuję ci — ale gdyby to miało cię narazić wobec zarządu...

Urban.

Dajże już do djabła pokój z tymi skrupułami i nie skazuj dla nich siostry i matki na biedę. Jesteś, równie jak ja, inżenierem, masz prawo i obowiązek pracować — to proste, towarzysz szkolny umożliwia ci tę pracę — to także proste.

Paweł.

A ja, sponiewierany i pokaleczony przez życie, boję się być natrętnym — to, mój kochany, również proste.

Urban.

Niechże tak będzie, ale nie zrzędź! Do widzenia za chwilę. Tylko Janinkę ucałuję. (Janina wchodzi i cofa się).

Janina.

Przepraszam.

Urban.

Wstałaś?

(Paweł podaje rękę Urbanowi, kłania się jego żonie i odchodzi).

Urban (do Pawła).

Za króciutką chwilę przyjdę.

SCENA II.

Urban i Janina.

Urban.

I czemu nie zostałaś w łóżku?.. Prosiłem o to.

Janina.

Sądziłam, żeś wyszedł bez pożegnania się ze mną; chciałam zobaczyć.

Urban.

Zdaje mi się, że dotąd ani razu tego miłego obowiązku nie ominąłem.

Janina.

Kto to był u ciebie? Taką miał twarz bolesną...

Urban.

Mój kolega uniwersytecki, Paweł Zdzitek.

Janina.

Ach, to on! Inaczej go sobie wyobrażałam...

Urban.

Sterał się w niedoli, zgorzkniał. Dzielny to był umysł, dzielny charakter. ale poszarpał się, poranił. Zaledwie go poznałem i zaledwie do ładu z nim doszedłem.

Janina.

Czegóż chciał?

Urban.

Jak prawie wszyscy, którzy mnie odwiedzają — pracy, miejsca w fabryce.

Janina.

Ach, drogi, czy ty podołasz tylu żądaniom! Zarząd może ci wziąć za złe, że w krótkim czasie umieściłeś już paru protegowanych, a nadto ciężary domowe wzrastają...

ślenia dziejów projektowanej ustawy rzemieślniczej, żałując mocno, że przy pisaniu naszego w tym względzie artykułu w *Prawdzie*, nie mieliśmy pod ręką jego broszury.

Ustawa rzemieślnicza z 1816 r. miała na celu jedynie interesy majstrów z pogwałceniem wszelkich innych. Była to organizacya policyjno-administracyjna, wyzyskująca tłumy spożywców na korzyść garstki wytwórców, położenie zaś uczniów—w widokach pryncypałów i opierała się na średniowiecznych zasadach wyłączności i monopolu. Przed kilku laty mieszkał w Warszawie stelmach cechowy, mający 12 zakontraktowanych uczniów i tak się nad nimi pastwiący, że złamał jednemu dwa żebra. Upłynęło aż dwa lata, nim zdołano odjąć mu prawo trzymania uczniów — ustawa go broniła! Dzięki kontraktom i statutom cechowym, dzieje się mnóstwo nadużyć. Uczniów wyzwolonych wyrzuca się w tej chwili z warsztatu, bo jako czeladnicy stanowią zbyt drogą siłę roboczą; w przeciągu 3 pierwszych miesięcy 1885 r. wyzwolono na czeladników 1,183 terminatorów i wszystkich jednocześnie wydalono z warsztatu, a natomiast przyjęto 1,246 nowych uczniów. Majstrowie cechowi wyszukują biednych chłopców w całem Królestwie i kontraktują ich na lat 5, a wyzyskawszy pracę małoletnich, wyzwalają na czeladników i wypędzają z warsztatu, aby nabrać z prowincyi nowych niewolników. Doszło do tego, że gdy 1861 r. w Paryżu na jednego czeladnika wypadało 0,02 terminatorów, w Warszawie ten stosunek przedstawia się jak jeden do dziesięciu! Są warsztaty, posługujące się jedynie uczniami, co łatwo pojąć, gdy wiemy, iż na trzech majstrów mamy tylko jednego czeladnika. Więc warsztaty są obsługiwane wyłącznie przez samych uczniów, gdyż majster musi często się wydalać dla szukania roboty i zakupu materyałów — oto powód rzeczywisty fuszerki, zalewającej spożywców! Projektowana ustawa rzemieślnicza wprowadza taki stosunek ilościowy uczniów do czeladników w warsztacie, że akurat uświęca istniejący stan rzeczy. Tymczasem majstrowie zwalają fuszerkę na swych spółzawodników, pracujących na mocy konsensu. Ci powstali wskutek ustaw z 1845 i 1868 r. W r. 1845 wydano rozporządzenie, że każdy może prowadzić warsztat po złożeniu egzaminów przed władzami administracyjnemi i bez należenia do cechów, w 1868 ostatecznie wyzwolono zarobkowanie z pod władzy cechów. Poczęto nawet przemyśliwać o zupełnem zniesieniu ustaw odnośnych, zwłaszcza od 1876, kiedy dał się zauważyć zwrot nowy w rozwoju klasy rzemieślniczej i drobnego przemysłu. Krajowcy, przeważnie młodzież ze szkół fachowych francuskich i niemieckich, jak również powracający sybiracy i emigranci, garną się do rzemiosł jako majstrowie konsensowi, tj. nienależący do cechu. Tworzą się biura techniczne, zakłady ślusarskie, rymarskie, siodlarskie. Prąd ten wysoce nie podoba się majstrom cechowym, pod osłoną ustaw prowadzącym wyzysk uczniów i fuszerkę. Tymczasem współzawodnictwo sił nowych coraz silniej podkopuje starodawną rutynę i opartą na monopolu fuszerkę. Objawia się reakcya. Majstrowie ciesielscy i murarscy, należący do cechu, podają 1882 r. prośbę do prezydenta miasta Warszawy z żądaniem, aby zabroniono budowania domów wszystkim, którzy nie byli w terminie i nie są majstrami cechowymi, ale otrzymali odpowiedź odmowną. Atoli takie dążności znalazły obronę w nowopowstałem Towarzystwie zachęty przemysłu. Pierwiastkowo „popierania drobnego przemysłu i rzemiosł wcale na siebie przyjąć ono nie chciało." Wreszcie po długich rozprawach wytworzono odpowiedni oddział — i wpisało się tu nadspodziewanie wiele osób, bo trzy lub cztery razy więcej, niż do innych sekcyj, przytem na przewodniczących wybrano właśnie tych, którzy najwięcej powstawali przeciw rozwojowi klasy rzemieślniczej! Wkrótce postawiono wniosek, ażeby kontraktowano uczniów na zasadzie ustawy 1861 r. P. R. wystąpił z żądaniem wypracowania projektu, broniącego rzemiosła — ale na zasadzie wolnego zarobkowania. „Zbieraliśmy się, ale coraz widoczniejszem było, że nikt nie wie, jak wziąć się do rzeczy i co robić; byłem zniechęcony do kółka, w którem przypadkowo wypadło mi pracować, nie byłem jednak pewny, czy ci ludzie ciągną innych na mylną drogę przez nieświadomość, czy też w interesie koteryi i dlatego postanowiłem przy pierwszej nadarzonej sposobności poddać ich próbie." Ułożył więc pytania, ale tak, żeby każde umożebniało jedynie z góry przewidzianą odpowiedź — rozesłano je jako wynik „długiej i sumiennej pracy." Czeladnicy odpowiedzieli w kilku zbiorowych odezwach, zarzucając Towarzystwu, że trzyma z majstrami i dopomaga im wysysać ostatnie soki z czeladzi. Delegacya uznała takie odpowiedzi za zbyt namiętne i niezasługujące *dlatego* na uwagę i postanowiła oprzeć dalsze swe prace na referatach majstrów i cechów! P. R. wtedy zrozumiał, ku czemu skłaniają się jego towarzysze; wreszcie gdy dalej bronił swobody zarobkowania, oświadczono mu, że to zmierza ku niwelacyi społeczeństwa i... usunięto ze składu delegacyi. Ustawę wypracowano w duchu cechowym i w widokach przywrócenia tego miłego stanu, gdy szewc uważał siebie jedynie za szewca, lecz nie za człowieka i wiedział, że społeczeństwo winno opierać się na powadze, chociażby to była powaga pociągła, byleby tylko nie na krytycyzmie.

Jak widzi czytelnik, broszura p. R. należy do bardzo ciekawych i zarazem pod względem swej śmiałości do bardzo nielicznych objawów naszego życia.

K. R. Żywicki.

BADANIA NAUKOWE.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

V.

Maudsley. — Mistycyzm jako objaw choroby ducha. — Śmierć metafizyce. — Kryteryum Epimenidesa. — Romundt Kant reformatorem. — Fourier i studyum o nim p. B. L. — Faust w przekładzie Lud. Jenikego.

Z kraju Pisma Świętego i darwinizmu wypadła „zatruta" strzała i uwięzła w biednem ciele religii. Grot dosyć ostry, bo puszczony ręką wprawnego łucznika — Maudsleya. Na pozór dziwne to — nieprawdaż? Uczony ścisły, dzielny psychiatra, znęca się ni stąd ni zowąd nad ofiarą? Rodacy jego gotowi pomyśleć, że sławny lekarz stał się naraz pożałowania godnym pacyentem. Nieszczęśliwa ludzkości! Nieubłagana logika faktów wydarła ci tysiące złudzeń, z któremi było ci tak miękko i rozkosznie — a tyś nie szemrała, owszem w imię prawdy dopomagałaś jej w pustoszącej pracy, spokojna, że wżarta w krew i nerwy twoje żądza nieskończoności i ideału — życie po brzegi jeszcze treścią zapełnić będzie zdolną. A tymczasem przychodzi śmiałek, profan, złodowacony trzeźwością i prawi ci, że owe tęsknoty niepojęte, uczucia mistyczne, ekstazy podniosłe, owo bratanie się z duchem, wszechświat ożywiającym, jest — niedołęztwem myśli twojej i chorobą mózgu!

Przebóg — wołasz — gdy tonę oczami w oczach kochanki, wtedy wiem i czuję, że się we wszechbycie zatracam; skrzydła mi u śmiertelnych ramion wyrastają i ku niebiosom unoszą. Płomień to boży przenika duszę moją i spopiela w niej wszystkie resztki ziemskości, a wy mędrkowie, urągacie mi i kalectwem ducha namaszczenie moje zwiecie?

Urban.

Tak cię przeraża ten trzeci synek, który nam świeżo przybył?

Janina.

A czwarty, mój brat, którego ci wniosłam w posagu...

Urban.

Chodzi sobie spokojnie do szkoły, bawi się z naszymi malcami a nikomu nie przeszkadza. Nie kwil, moja zięba żałosna, jeszcze w naszem gnieździe pomieściłby się niejeden ptak.

Janina.

Wabisz, więc się zlatują. Znowu...

Urban.

Kto taki?

Janina.

Poczciwy jesteś, dla mnie najlepszy, a mimo to lękam się ci powiedzieć.

Urban.

Janinko, nie bądź dziecinną. Cóż tam ukrywasz?

Janina.

Jak wiesz, stryjowi majątek sprzedano, otóż Helenka przyjechała i prosi, ażeby mogła u nas zamieszkać, dopóki jej narzeczony uniwersytetu nie skończy.

Urban.

Siostra twoja?

Janina.

Tak.

Urban.

Gdzież ona jest?

Janina.

W moim pokoju.

Urban.

I owszem, najchętniej ją przyjmę. Miałaś też co taić! Ach, ty kotko płochliwa! Ale wróć do łóżka, boś jeszcze bardzo osłabiona.

Janina.

Nie, tylko zaniepokoiłam się tem nowem dla ciebie brzemieniem. Nie uwierzysz, Urbanie, jak mnie to dręczy, że za mną wchodzi do tego domu szereg krewnych biedaków...

Urban.

Ależ, na litość, zaprzestań tej skargi, do której ci nie daję żadnego powodu. Szczególna z ciebie istota! Jeśli nie ma przykrości, to ją sobie stworzy, wydłubie nawet ze szczęścia i niemal pragnie, ażeby zgryzłszy orzech, pieprzowe ziarno w nim znalazła.

Janina.

Żartuj, a ja mam wyrzuty sumienia.

Urban.

To bardzo źle. Skoro cię kocham — a chyba o tem nie wątpisz — wszelka pomoc dla twojej rodziny jest przyjemnością dla mnie, bo jest dowodem miłości dla ciebie. Naprzód mnie pocałuj, a potem osądź sprawiedliwie, czy nie mówię rozumnie. Zresztą, taka już moja natura. O ile posiadam środki, lubię dzielić się nimi z każdym poczciwym a nadewszystko z blizkimi sercu mojemu. Gdyby mi kazano być egoistą, usechłbym ze złości. Wolałbym wędzić się w dymniku jak śledź, niż skąpić ludziom usług. Nie umiem — przysięgam — nie umiem. Chociażbyś nawet tego potrzebowała, nie przerobisz mnie. Może to głupie, niepraktyczne, nieopatrzne, ale i podeszwa buta więcej by zyskała, gdyby była przyszwą, pozostaje jednak tem, czem być zdolna. Wytłomaczyłem się mojej pani?

Janina.

Nie dziw się wszakże, zacny gołębiu, że ludziom czasem przykro korzystać z twojej dobroci.

Jakto — pytasz — zapatrzony w Madonnę Sykstyńską, znajdzież się człowiek na tyle głupi i zarozumiały, że bielmo by mi na źrenice rzucić się poważył, twierdząc, iż natchnienie boże, w tęczę cudnych barw skrystalone i istotą mą wstrząsające — jedynie z obłędnego rozumu mego wyskoczyło, jak światło z kropli smoły na kałużę rzuconej.

Niestety — odpowie proza — tak jest. Na nic się nie zdało konwulsyjne zaciskanie pięści. Jeżeli nie rozwiano jeszcze całkiem mgły metafizycznej — to czynią na nią okrutny zamach, sprowadzając wszelkie nasze tęsknoty tajemnicze i wybryki entuzyazmu dla wielkich idei, w których mniemamy, iż Bóg z nami rozmawia — do bardzo o! bardzo poziomego źródła.

Po pierwsze, wszystkie złudzenia, iż w sprawy doczesne miesza się siła nadprzyrodzona i kieruje niemi dla naszego dobra lub niedoli — są objawem niedojrzałej, niewyćwiczonej w prawidłowem myśleniu inteligencyi *). Wierzymy nieraz, iż w przedsięwzięciu niepomyślnie ukończonem zawdzięczamy niepowodzenie jedynie wypadkowi i warunkom, które jego początkowi towarzyszyły i stąd wiara w fatalność dni, godzin i tym podobnych okoliczności czasu i miejsca. Miliony niedorzecznych przesądów i zabobonów, paczących zdrowe pojęcie ucywilizowanego świata, żyje pasorzytniczo na łasce tej tylko skłonności do uogólniania w prawo zdarzeń drobnych i czynnościom danym zupełnie obcych, a potem zjawiają się całe systemy filozoficzne i teologiczne, zacietrzewiają namiętnymi sporami tłumy mędrców domowych i urzędowych. Zresztą bywają i inne przyczyny. Strzelamy bąki pod wpływem wzruszenia, ślepego przywiązania do tradycyi, ba! nawet wskutek błędnego używania pewnych wyrażeń i nienormalnego stanu wyobraźni. Wszystko to jasność umysłu i wzroku zamąca i stwarza dziwolągi, cuda, duchy, których autentyczność gotów jesteś na razie przysięgą stwierdzić. Dosyć, gdy zmarły krewniak lub przyjaciel przyśni ci się w nocy, by ci się przywidziało coś w otoczeniu odmiennem od rzeczywistego i pospolitego, a niebawem zaufasz, że ponad dziedziną na jawie dostępną dla zmysłów, unosi się zamknięta dla nich kraina bytów fantastycznych: sfera istności potężnych a niezrozumiałych.

Są to objawy tak codzienne, że nawet ujmy przynosić nie mogą rozumowi, jeśli na nich zbuduje jakiś przeznaczony do królowania światu dogmat. Miałbym odwagę odeprzeć Maudsley'owi, że manowce, po których błądzą wszyscy, przestają być manowcami, bo i czyjaż myśl odróżni wówczas gościniec prosty od ścieżyny, nad przepaść wiodącej? Dla kogóż labirynt zagadek kosmicznych rozświetla się w całym swym bezmiarze? Quod capita — tot dementiae, miałoby prawo powiedzieć przysłowie. Antropologia wykazuje, że z mar sennych narodziła się cała wiedza filozoficzna człowieka, którą dziś jeszcze każdy z nas w mniejszym lub większym odżywia się stopniu. Jeśli jesteśmy igraszką psychicznej natury naszej — gdzież wzór jej normalny? Epimenides twierdził, że wszyscy kreteńczycy są kłamcami, ale skoro on sam jest z Krety rodem, przeto i sam... mija się z prawdą, a w takim razie nie wierz temu, co mówi, gdyż kreteńczycy mówią prawdę itd. Zastosujmy ten syllogizm, nieco sofistyczny może, ale w gruncie rzeczy słuszny, do Maudsleya, a otrzymamy ciekawy wynik — koło zaczarowane, i kiep ten, komu z niego wydobyć się przyjdzie ochota.

Lecz bywają mniej powszechne, całkiem już patologiczne przyczyny omamień filozofii, przeróżne manie, halucynacye, epilepsye, szały z całą czeredą słabszych i silniejszych wybryków nerwów rozstrojonych i one to bałamucą najszkodliwiej prostacze zwłaszcza głowy. Wszelkie próby nawiązania poufałych stosunków z nadprzyrodzonym rdzeniem bytu dowodzą wedle myśliciela angielskiego — anomalii czynności duchowych. Usilując przebić się aż do „macierzy“ — jeżeli one wogóle po za obrębem imaginacyi Fausta istnieją — bez pomocy doświadczeń i postrzegania, już podpisujemy na siebie świadectwo umysłowego cherlactwa. „Teolog i filozof, prawi Maudsley, przedstawiają jednakowo krańcowe znamiona jakiejś *psycholepsyi*, która sprzyja wprawdzie zagłębianiu się w siebie, ale nie przysparza bynajmniej zdrowia i mocy władzom ducha.

Tę oto zasadę uczyniwszy probierzem szkół filozoficznych, Maudsley dochodzi do niewesołego wniosku. Cała umiejętność nadnatury nie warta funta kłaków. A jeśli tak smutny los przeznacza się metafizyce— to o ileż opłakańszy wypadnie dla religii? Maudsley konsekwencyj swego założenia nie boi się. Kościołowi i kapłaństwu odbiera zatem posłannictwo święte, a gorąco poleca świętobliwe. Niechaj kler będzie wzorem cnót i najruchliwszym współczynnikiem szczęśliwości ogółu. Spełni misyę swą sumiennie, jeśli hamować będzie zapędy samolubstwa i nierozsądne wyskoki altruizmu

Na co ten dodatek? Brzmi jak zgrzytliwy ton, kończący ogonkowato starannie odegraną sztukę. Zasada użyteczności, wielka i wspaniała, miewa swoje męty nawet u filozofów i te tryskają od czasu do czasu brudnemi plamami mieszczańskiego wyrachowania.

Ale o to na teraz mniejsza. Spróbój, czytelniku, sprawdzić teoryę Maudsleya na toku dziejów, a otrzymasz niemiłą dla niej prawdę. Nie ulega kwestyi, żeśmy w przytomności i przedmiotowem badaniu postąpili naprzód, a to, mówiąc słowami Maudsleya, równałoby się częściowemu ozdrowieniu nerwów w całem społeczeństwie europejskiem. O, krwawa ironio! Może więc przezorniej będzie grubo opancerzyć się sceptycyzmem przeciw uroszczeniom idealistów, wizyonistów i cudotwórców, Bohmeów, Pascalów, Montaigne'ów, Szymonów Magów, Nostradamusów, Mesmerów i Swedenborgów, ale zostawić w umyśle maleńki bodaj kącik dla faktów nowych, jak hypnotyzm, bo te choć nie poprą mistycyzmu świeżym kredytem i prędzej czy później posłuszeństwo prawom nauki okażą — ale odkryją nieznane jej dotąd obszary przyrody. Zaryglowując zaś umysł według powyższego przepisu, narażamy na poniewierkę hypotezy, a przecież między prawdą a urojeniem granica częstokroć tak niepochwytna, jak między bólem a rozkoszą, pięknem a brzydotą.

Bądź co bądź, nie brak u Maudsleya określeń „jędrnych,“ i gdy tytułuje dzisiejsze duchowieństwo: „anti-społecznymi potworami ascetyzmu i fanatyzmu,“ chce się wybaczyć mu wszelką przesadę.

To pewna, że inaczej zupełnie myśli współcześnie z nim rozprawiający o religii Romundt. Jako niemiec oburzałby się na radykalizm, bo niemcy tak lubią godzić wrogie obozy, tak łatwo budują mosty misterne, które za lada podmuchem bez hałasu walą się w przepaść, gdzie ich spoczywają tysiące. Jako niemiec też — wywody swe snuje niby nić pajęczą dokoła systematu Kanta. Gdy inni porównywają tę czystość niepokalaną wnioskowania, jaka cechuje *Krytykę czystego rozumu*, z oportunizmem „rozumu praktycznego,“ z przekąsem się uśmiechają. Romundt w tym zlepku marmurowej podwaliny z glinianą wieżą widzi właśnie największą filozofa królewieckiego zasługę. *De gustibus non est disputandum*! Kant tedy ogłoszony zostaje reformatorem religii i chwalca nie waha się nazwać go

*) H. Maudsley: *Natural causes and supernatural seemings*.

Urban.

Bo nie znają rozkoszy czynienia innym dobrze. Zważ tylko, Janinko, jak to przyjemnie pomyśleć, że ktoś nam zawdzięcza swój los. Ja np. utrzymuję ciebie, twego brata, troje naszych dzieci, do nich teraz przybywa Helenka, po części na mnie opierają się rozmaici biedacy, którym dałem podstawę do życia; nie przeczę, że wszystko to wymaga pracy, zabiegów, starań, ale czy ich nie wynagradza miłe przekonanie, że ową gromadkę ja sam dźwignąłem i niosę, że na mnie ona spoczywa, że gdybym ja runął...

Janina.

Och, Urbanie drogi, nie dopuszczaj takiego wypadku... nie wymawiaj takiego słowa...

Urban.

Ot, wyskoczył strach! Żoneczko, jesteś nieuleczalna w swych zgryzotach. Już dosyć lamentów... Stawiam kropkę drażliwej gadaninie na twotch ustach (całuje ją—Helena wchodzi) i uciekam do fabryki.

SCENA III.

Ciż i Helena.

Helena.

Bez widzenia się ze mną.

Urban (podając jej rękę).

Daliśmy pani poglądową lekcyę czułości małżeńskiej. A może pani już to zna?

Helena.

Naprzód witam pana, i żałuję, że pytania nie rozumiem.

Urban.

Postawię je jaśniej: czy Karol już panią pocałował?

Helena.

Długo jeszcze na to poczeka.

Urban.

Musiał usta pani swojemi zapieczętować, kiedy tak dochowujesz tajemnicy.

Helena.

On jest grzeczny.

Urban.

On jest gawron — jeśli to prawda, która mi się wydaje bardzo pożądaną, bo naprzód niecałowana nie wyglądałabyś pani tak ładnie, a powtóre iskrę, która w serce wpada, trzeba skrzesać ustami. Przynajmniej ja oświadczyłem się Janince w całusach.

Janina.

Urbanie, co ty wygadujesz...

Urban.

To, że nie byłem żydem i w książce miłości nie zacząłem wpisywać uczuć na wspak od ostatniej karty, na której inni kończą. Całowanie — to przedmowa, to jeszcze nie powieść. A zdaje mi się, że pani Helena już przeszła rozdział pierwszy.

Helena.

Na szczęście Karol — to nie pan.

Urban.

Z miny natarczywszy. Ale ja tu wykładam to, co pani znasz doskonale, a robota czeka. W pół do dziesiątej! Gwałtu! Jeszcze raz (całuje Janinę—do Heleny). Zanim Karol przyjdzie, niech się pani uraczy echem tej przyjemności. Do widzenia... o czwartej przyjdę na obiad (wychodzi).

(D. n.)

„nowym Pawłem“ *), albowiem naszkicował on teoryę kościoła widzialnego, który prowadzi do kościoła niewidzialnego. Ludzkość historycznie wytworzyła sobie wiarę, iż jest dziatwą Bogą; tę otuchę wypadało ukrzepić i usprawiedliwić nauką. Ażeby uczynić człowieka prawdziwym obywatelem królestwa boskiego, należało oddać go pod opiekę zorganizowanej władzy nad sumieniami. Wprawdzie najistotniejszym pierwiastkiem religii jest wiara moralna, ale Kant bał się zdać ją na kaprys i wolał kiełznać złożonym aparatem kościelnym. Stąd wzięła mu się owa przychylność dla protestantyzmu, która wedle Romundta stawia go na równi z odnowicielami XVI stulecia. Przygotowany dostatecznie poddaństwem i religijną pańszczyzną chrześcianin, będzie już mógł wznieść się do wiary rozumowej.

Proroctwo to więcej w każdym razie ma widoków urzeczywistnienia się, niż inne, mniej doniosłe, ale nas bliżej obchodzące: że kiedyś ojczyzna nasza na podobieństwo okolic Lizbony lub Neapolu zazieleni się gajami,

> Gdzie cytryna dojrzewa,
> A pomarańcz blask
> Zielone złoci drzewa.

Tak wróżył... Fourier. Wspominam go tutaj, bo zajmujące studyum o nim drukuje p. B. L. w kwietniowym zeszycie *Ateneum*. A przepowiednia to taka urocza, osobliwie na szarem tle skołowaciałej wiosny! Doprawdy w dziwnym też i cudacznym wylęgła się mózgu, w mieszaninie genialności i szarlataneryi. Zapytacie może, za czyją, bo chyba nie natury sprawą, Warszawa ma przestać zazdrościć południowi ciepła i owoców? W odpowiedzi wyłożyć bym musiał całą metafizykę głośnego utopisty, z której w dalszym ciągu powstała jego filozofia społeczna. Ale właśnie dlatego, że jest ona chrzestną matką dzisiejszego socyalizmu i pozwala śledzić zalążki wielkich ruchów emancypacyjnych dziewiętnastego wieku — odsyłam ciekawych do samego źródła. W sąsiedztwie jego znajdą też początek nowego przekładu *Fausta*, pióra p. Jenikego. Jak wypadnie całość, która zresztą ma objąć tylko część pierwszą, można już teraz mniej więcej orzec. Charakterystycznem byłoby zestawienie jej z tłomaczeniem Feliksa Jezierskiego, najoryginalniejszem co do języka ze wszystkich pięciu, literaturę naszą bogacących. Sędziwy filolog złożył tam dowód nieporównanie mistrzowskiego władania językiem, który w rękach jego gnie się jak wosk, ale zarazem przesadził poetę w niezrozumiałości, stworzył cały słownik wyrażeń mglistych, tworów nawskroś eterycznych. Jenike użył wiersza jasnego, przezroczystego, który czyta się jak płód czysto swojski, przystępny dla każdego, a jednocześnie wierny poetycznemu ustrojowi oryginału.

Robon Dion.

LITERATURA I SZTUKA.

H. Sienkiewicz: *Potop*, tomów sześć, Warszawa.

Nadzwyczajne, rzec można — niebywałe powodzenie, jakiego doznała powieść *Ogniem i mieczem*, musiało narzucić autorowi jej wątek za kanwę dla utworu następnego. Rzeczywiście *Potop* tak dalece przypomina swoje poprzednictwo, jak gdyby p. Sienkiewicz stał się niewolnikiem pomysłów własnych, jak gdyby pracę, która mu zapewniła wyjątkowy rozgłos i szeroką sławę, postawił sobie za wzór do naśladowania. Różnice zachodzą tylko w szczegółach. Tu i tam mamy szereg scen obozowych i wojennych, prawie wyłączających inne widoki życia; tu i tam na całym obrazie rozpościera się jeden żywioł szlachecki; tu i tam plan pierwszy zajmują te same niemal postacie; tu i tam dokazują one cudów waleczności; tu i tam zwala się na kraj straszna chmura najazdu; tu i tam między dwojgiem kochanków splata się węzeł miłosny, którego rozerwać nie mogą wszystkie huragany burzliwych losów i który w bezpiecznym porcie zyskuje prawne utrwalenie. Najważniejszą odmianę stanowi bohater główny: tam był poczciwy, wytrwały, sentymentalny Skrzetuski, tu wichrowaty, rozkiełznany, dziki Kmicic.

Herakliusz Billewicz zapisał testamentem wnuczkę swoją Aleksandrę wraz z włościami synowi przyjaciela, Andrzejowi Kmicicowi, dozwalając jej tylko, gdyby go poślubić nie chciała, wstąpić do klasztoru. Awanturnik, zwiedziawszy się o tym legacie, przybywa na miejsce z całą bandą podobnie jak on ściganych przez sądy opryszków, a znalazłszy pannę godną zalotów i ofiary z kawalerstwa, zaczyna ją zdobywać obcesowo. Ona, mimo swej skromności, poddaje się bez oporu jego zapałom. Tymczasem towarzysze Kmicica rozpustują, niszczą, napadają, rabują, palą i wyrzynają szlachtę okoliczną, laudańską, której Billewicz powierzył opiekę nad wnuczką. W krwawym odwecie giną prawie wszyscy. Wtedy rozwścieklony ich herszt mści się straszliwie na Laudanach, a gdy Oleńka odtrąca go, porywa ją gwałtem, ale zaskoczony i zrąbany przez Wołodyjowskiego—traci.

Sprowadzeni przez Radziejowskiego szwedzi weszli do Polski i przeciągnęli na swą stronę Opalińskiego, a wkrótce, po kilku zwycięztwach, innych panów wraz z oddziałami wojsk. Na czele najpoważniejszej siły, która mogła powstrzymać wroga, stanął ks. Janusz Radziwiłł. Koło niego też zgromadzili się wszyscy bohaterowie powieści: Skrzetuski, Wołodyjowski, Zagłoba, a wreszcie Kmicic. Ale gdy ambitny magnat, który marzył o koronie, odsłonił swą sympatyę dla szweda, opuścili go wszyscy z wyjątkiem zdurzonego Kmicica. Przez czas pewien walczył on po stronie księcia przeciwko rodakom, ale przeniknąwszy jego zdradzieckie zamiary w poselstwie do Bogusława Radziwiłła, którego porwać usiłował, pod przybranem nazwiskiem Babinicza postanowił szlachetnymi czynami zmyć plamy swych win, a zasłużyć na przebaczenie Oleńki, zabranej i więzionej przez Radziwiłłów. Udaje się więc naprzód do Częstochowy, której przy Kordeckim mężnie broni, a śmiałem rozsadzeniem największej armaty szwedzkiej uwalnia oblężonych od nieprzyjaciela; następnie jedzie na Szląsk, gdzie przebywa król, i nakłania go do powrotu. Staczając niezliczoną ilość potyczek i wraz z oddziałem tatarskim napastując ciągle szwedów, bierze udział we wszystkich ważniejszych bitwach, a zwłaszcza w zdobyciu Warszawy. Prócz pobudek żołnierskich, syczy mu w duszy jedna wielka nienawiść, podtrzymująca w nim odwagę — chęć zemsty nad Bogusławem Radziwiłłem, który zręcznym strzałem powalił go, wymknął się mu z rąk i zawładnął Oleńką. Nakoniec w jednej bitwie pokonywa go i bierze do niewoli.

Pomimo ciężkich porażek i śmierci najmocniejszego sprzymierzeńca, Janusza Radziwiłła, pomimo zwycięztw Czarnieckiego i Sapiehy, szwedzi niszczą kraj. Nagle od południa skłębiła się nowa chmura i Kmicic wysłany został na Węgry. Przywieziono go stamtąd posiekanego. Oleńka i jej opiekun, do których dobiegł odgłos sławy Babinicza, nie wiedząc, że to nazwisko przybrał Kmicic, a pozostając ciągle pod wrażeniem jego niesławy, jako zdrajcy, naturalnie odwracają się od bohatera z pogardą. Dopiero list królewski, wyświetlający jego zasługi i odpuszczający winy, rozpala w sercu Billewiczówny ciągle tlejące iskry miłości i łączy kochanków.

Wydobyliśmy z powieści te tylko jej nici, które snują się około bohaterów przewodnich i spajają jej tkaninę. Nawet nie wzmiankowaliśmy o mnóstwie wątków ubocznych, zbaczających od głównego, splątanych i powiązanych tyle razy, ile sposobności dostarczyć mogą wypadki wojenne, w szybkim rytmie biegnące. Bo jak rzekliśmy, jest to powieść czysto obozowa. Autor nawet dobrym szkicem życia z po za pobojowiska nie przeplata i nie urozmaica długiego rzędu obrazów batalijnych. W tym kierunku posiada on szczególną pomysłowość, siłę pędzla i wiedzę historyczną. Całe społeczeństwo zamienia na oddziały wojsk, wszystkie żywioły giną przed jego oczami prócz zbrojnych, widać tylko pułki, słychać tylko trąbki, strzały i gwar potyczek. Nawet myśli i uczucia ludzkie wydają jakiś chrzęst i szczęk oręży. Żadna maszyna nie mogłaby tak niezmordowanie pracować w jednym celu, żadna armata nie siała zniszczenia ochotniej. Ci bajeczni wojacy posiadają nietylko żadnymi trudami niezmożoną gotowość do walki, nietylko sztukę i umiejętność pokonywania dziesięć, stokroć liczniejszego nieprzyjaciela, ale prawdziwie czarnoksięzką zdolność odradzania się i unikania śmierci. Zdaje się, że uszkodzona rusznica lub wyszczerbiony miecz bardziej odczuwa swą ranę, niż posiekany rycerz *Potopu*. Nic zmniejsza on niebezpieczeństwa, ale je umyślnie potęguje. Z tysiąca dowodów wybierzemy prób kilka. Oddział wojska zaskakuje znienacka rabujących wieś szwedów. „*Mógł* p. Wołodyjowski—czytamy — uderzyć i *jednym zamachem* zgnieść niespodziewających się niczego napastników; ale mały rycerz postanowił „pokosztować szwedów“ w bitwie otwartej, więc *naumyślnie* czynił tak, aby go spostrzeżono.“ Przyjemność tą kosztowała go tylko „dwudziestu kilku dobrych żołnierzy.“ Ale jak też używał! „Co chwila jakiś kapelusz szwedzki zapadał przed nim w ciżbę, jakoby nurka dawał pod ziemię; czasami rapir, wytrącony z rąk rajtara, wylatywał furkocząc nad szereg, a jednocześnie odzywał się krzyk ludzki przeraźliwy i znów kapelusz zapadał; zastępował go drugi, drugiego trzeci, lecz pan Wołodyjowski posuwał się ciągle dalej naprzód, małe jego oczki świeciły jak dwie iskry złowrogie i nie unosił się i nie zapamiętywał, nie machał szablą jak cepem; chwilami, gdy nie miał nikogo na długość szabli przed sobą, zwracał twarz i klingę nieco w prawo lub w lewo i strącał w mgnieniu oka rajtara ruchem napozór nieznacznym i straszny był przez te ruchy małe a błyskawiczne, *prawie nieczłowiecze*.“ Za czasów wiary mitologicznej powiedzianoby, że bóg przebrany w ciało ludzkie wmieszał się do walki, za naszych przypuszczać tylko można, że szwedzi mieli miecze papierowe, a kule w strzelbach z miąszu bzowego. Ów Wołodyjowski dokazywał takiej sztuki ciągle i zawsze wychodził cało. To też „nudził się w obozie i tęsknił za krwi rozlewem.“ Nawet Zagłobie (o którego przemianach wspomnimy niżej), podszytemu tchórzem, nieraz „do szwedów pilno.“ Gdy starosta kałuski usłyszał, że król szwedzki będzie go oblegał w Zamościu, „uradował się tą wieścią, bo się wielce rozruszał i miał chęć wypróbowania swych dział i murów.“ Gdy wódz wysyła podjazd, pozostali towarzysze zazdroszczą wybranemu niebezpieczeństwa. Jak w *Ogniem i mieczem*, tak i w *Potopie* autor jednego bohatera głównego skazuje na ciągłą siekaninę. Rolę Bohuna gra tu Kmicic, który porąbany wielokrotnie, odbywa jak żywy kotlet dalekie podróże i gdy potrzeba, przy pomocy zwykłego felczera, odzyskuje zdrowie. Słowem, wszyscy ci wojacy nie przypominają niczemrzeczywistości, a wszystkiem bajkę.

O charakterach też prawdopodobnych, przybliżenie realnych, nie może tu być mowy, tak jak wogóle o najluźniejszej psychologii. Ludzie częściej zmieniają swoją naturę, niż szatę. Trudno np. rzec, na czem za-

*) Dr Heinrich Romundt. *Ein neuer Paulus*. Immanuel Kants Grundlegung zu einer sicheren Lehre von der Religion. Berlin, 1866.

wisła nadzwyczajnej trwałości miłość Oleńki do Kmicica, który zaledwie pokazał się i wycałował swą oblubienicę, natychmiast okrył się w jej oczach wszystkiemi piętnami sromoty. Najbogaciej przez autora wyposażona i najbarwniej odmalowana postać Zagłoby jest mieszaniną rysów najsprzeczniejszych: tchórzostwa i śmiałości, błazeństwa i powagi, samolubstwa i skromności; w dziwolągu tym na przemiany rej wodzą brzuch lub głowa. Autor, wziąwszy sobie za model do nakreślenia tej figury Falstafa Szekspirowskiego, dał Zagłobie istotnie wielki zapas oryginalnego dowcipu i humoru, ale podczas gdy wzór pozostaje konsekwentnie „ospałym buldogiem" lub „beczką flaków," kopia przechodzi rozległą skalę odmian, od żarłoka i pijanicy, aż do dzielnego rycerza i męża stanu. Zagłoba jest wszystkiem. Ale gdy kłamie, pije jak smok, obmyśla fortele, dowodzi, że woli takie kobiety, „co to i zrazu nie poznasz: armata czy białogłowa," lub też o szwedach: „rzucisz szelmę w jedną przerębel, to on ci drugą wypłynie i jeszcze śledzia żywego w pysku trzyma," gdy bezczelnie przechwala się z nieodniesionych zwycięztw i wielkich czynów cudzych, śmiejemy się serdecznie; gdy wszakże autor upewnia nas o jego „nadzwyczajnem męztwie," o tem, że jego imię „rycerstwo w całej Rzeczypospolitej ze czcią powtarza i za przykład podaje," że „sława jego rosła coraz bardziej i chodził w niej jak w słońcu wszystkim na oczach, nad innych promienisty i jasny," gdy mu każe przyjmować deputacye i powierza regimentarstwo nad wojskami, którym przewodzili znakomici i odznaczeni pułkownicy — doznajemy pewnej przykrości w przypuszczeniu, że to nie żart i pytamy, czy p. Sienkiewicz nie ukrył i tu humoru, który oświetla całą jego powieść.

Bo rzecz dziwna, chociaż *Potop* jest szeregiem widoków krwawych, nie okrywają go chmury grozy, lecz jakaś niezmącona wesołość. Autor opowiada wypadki z uśmiechem, a ponieważ dla jego bohaterów wojna stanowi niejako krwawe zapusty, przyjemność i zabawkę, zatem wątek o tragedyę nie zaczepia nigdzie i snuje się jak żartobliwa gawęda. P. Sienkiewicz unika widocznie dramatu, gdyż pomimo mistrzowskiej wyrazistości i energii w malowaniu, mimo kilku wspaniałych scen (jak np. uczta u Radziwiłła, walka Kmicica w górach przy królu itp.), do kreślenia obrazów istotnie dramatycznych brak mu siły, środków, barw i zwykle wtedy ratuje się uroczystą modlitwą serc cierpiących.

Jako bajka, nieprzestrzegająca żadnych wymagań i konieczności życia rzeczywistego, *Potop* zawiesza działanie wszelkich praw, zarówno fizycznych, jak moralnych. Wszystko tu fizycznie możliwe, wszystko psychologicznie dopuszczalne, wszystko etycznie przebaczone. Prawda, przedstawia on rozprzężenie stosunków i rozerwanie węzłów społecznych, ale jest może wyjątkowym utworem w literaturze świata bez żadnej moralności. Ani jedna jej reguła nie zachowuje w tym odmęcie swej mocy. Katolicy walczą z Matką boską, poddani ze swym królem, bracia z sobą, ci przeniewierzają się wodzom, tamci zdradzają ojczyznę, inni palą, rabują i wycinają bezbronnych, a co ważniejsza — wszyscy przy zetknięciu nie czują do siebie mocnych wstrętów i przy sposobności łączą się przyjacielsko, jak gdyby ich nic nie dzieliło. Etnologia twierdzi, że nie znaleziono takiej gromady ludzkiej, któraby nie posiadała i nie szanowała jakichkolwiek obowiązków. Otóż taką właśnie nieznaną gromadkę widzimy w *Potopie*, gdzie jedynym chyba wyjątkiem jest pewien szkot, z pogwałceniem swych uczuć dochowujący przysięgi żołnierskiej.

Gdy ukształcony autor XIX w. już nietylko ustawicznie napędza swych bohaterów do modlitwy, ale szerzy zabobon, gdy opisując oblężenie Częstochowy, twierdzi poważnie, że „jedna z kul utkwiła w kaplicy, lecz trąciwszy tylko o złamanie dachu, *wróciła* z szumem i łoskotem ku obozowi (szwedzkiemu), rozrzucając po powietrzu *potok płomieni*," gdy wspomina o innych cudach, nie pytając go o szczerość wiary w nie, widzimy jednak, że postanowił czytelnikom opowiedzieć bajkę. Bajką też tylko *Potop* jest, ale przyznać trzeba świetną, żywą i zajmującą, a podobno najdłuższą w literaturze naszej. Nie przypominamy sobie bowiem polskiej powieści sześciotomowej. W tych rozległych ramach mieści się niewyczerpany kalejdoskop życia obozowego, jakaś legenda wschodnia, bogata w różnorodne pomysły, jaskrawa w kolorycie, upajająca w działaniu — fantastyczny narkotyk, niedobyty z tworów życia rzeczywistego, ale mocny i odurzający. *Potop* żadnej epoki nie odzwierciadla, niczego nie uczy, do niczego nie podnieca — jest bezcelową grą świateł wyobraźni, ale jako baśń historyczna, należy do najpiękniejszych dzieł sztuki i nosi na sobie znamię wielkiego talentu. Dla malarza i rysownika jest to skarbnica tematów, dla myśliciela — oryginalny wybłysk fantazyi, dla której nie istnieje żadne prawo, prócz prawa efektu.

A. H.

O KRASZEWSKIM
i o tych, w których oczach umarł.

Nie sposób prędko zapomnieć o takiem, jak śmierć Kraszewskiego, zdarzeniu, które na nas w Genewie spadło niespodzianie. Nieboszczyk w oczach nam stoi — nie w trumnie, gdzie się do niepoznania zmienił, ale takim, jakim się przedstawił sześć miesięcy temu, gdy na kongres literacki do Genewy zjechał i jakim w dniu imienin swoich w oczach naszych na fotelu zasnął. Zasnął. Do zgonu jego wyraz ten stosuje się literalnie. Spał, oddychając, i spał dalej, nie oddychając. Bez konwulsyj, bez wysiłku, bez drgnięcia najmniejszego przeszedł ze stanu jednego w drugi — z człowieka żyjącego stał się bryłą o kształtach ludzkich, podległą rozkładowi na pierwiastki chemiczne, wydaną na łup gazom, grzybkom i żyjątkom. Patrząc jednak na niego w pierwszych zaśnięcia na wieki chwilach, nie myślało się o następstwach, ale podziwiało się łatwość, z jaką się z życia wyzuł i zazdrościło się spokojowi, jaki osiągnął.

Uspokoił się na zawsze.

Zapewne, złudzeniem to było, wydawało się atoli, że głowę jego otoczyło opromienienie. Był to może efekt światła, które smugiem z po za firanki wierzch czaszki mu muskało; był to może wytwór wyobraźni, uderzonej zagadnięciem nagłem ogniska, które tak długo, tak żywo i tak jasno gorzało.

Nie znajdowałem się przy Kraszewskim w chwili, kiedy żyć przestał. Odszedłem był na dziesięć minut przedtem, powróciłem w dziesięć minut później. Zostawiłem go ze zwieszoną na piersi głową, śpiącego i w takiej samej pozycyi zastałem. W pokoju przyległym powiedziano mi: „Już." Zrozumiałem, co wyraz ten znaczy; do zmarłego na palcach podszedłem i w śmierć uwierzyć nie chciałem. Śmierć zazwyczaj zmienia, wykrzywia rysy oblicza. Oblicze jego nie zmieniło się ani trochę. Bił od niego wyraz uśpienia tak, że obecni chodzili na palcach i rozmawiali po cichu, jakby się obawiali, ażeby go nie obudzić.

O! śmierć taka jest — doprawdy — do pozazdroszczenia. Należała się mu ona, jako wynagrodzenie za trudy życia pracowitego, za męczarnie trapiących go dolegliwości. Nie oglądał oblicza jej wstrętnego. Ukoiła mu najprzód bóle i następnie zabrała go tak łagodnie, tak ostrożnie, jak matka, układająca do kołyski uśpione na jej łonie dziecię.

Ludzie się modlą o śmierć lekką.

Kraszewski wymodlił ją snadź sobie taką niegdyś — dawniej, gdy się bowiem zbliżyła, nie chciał jej. Odpychał ją całą pragnienia życia potęgą. Przypuszczał, że umrze, wspominał bowiem o tem. Wyraz: „umieram" — padał mu z ust niekiedy. Zawsze atoli, po wymówieniu wyrazu tego, wołał o ratunek i przyjmował pocieszanie za prawdę, której się z ufnością chwytał. W chwilach jaśniejszych, ile razy mu oprzytomnienie powracało, o przyszłości myślał i mówił, ale nie o przyszłości zagrobowej. Najjaśniejszą przed zgonem jego chwilą był poranek dnia 18 marca. Na godzin 30 przed śmiercią oprzytomniał był zupełnie. Rozmawiał swobodnie. Mówił o pracach swoich, o angliku, co mu krzywdę literacką wyrządził, o interesach; wyprawił budowniczego do Lauzanny dla opatrzenia domu, o którego nabycie traktował; o śmierci nie myślał. Co go szczególnie i przedewszystkiem w ostatnich chw.lach życia zajmowało, to wynagrodzenie za oddawane mu usługi. Zastrzegł to sobie z góry wyraźnie i w sposób nalegający, wręczając lekarzowi na urządzenie rachunku pieniądze i jednem z ostatnich o myśleniu świadczącem powiedzeniem jego były wyrzeczone do pani M. wyrazy: „Jacyście wy dobrzy!... Czem się wam wywdzięczę?" Wziąść to można, bo należy, za jeden z charakteru jego rysow. Człowiek pracy znał wartość czasu, starań i umiejętności i nie chciał, ażeby mu to daremnie dawano. „Płaćcie za wszystko i nie oszczędzajcie mnie"—na wstępie powiedział i powtarzał to później tonem prośby, z takim naciskiem, który posługującym mu aż przykrość sprawiał.

I nie zajmowało go nic innego, jak dwie to rzeczy: sowicie wynagrodzony ratunek i urządzenie sobie na przyszłość życia.

Zamierzył był pod Lauzanną zamieszkać, Lenartowicza sprowadzić, zbiory swoje uporządkować, prace rozpoczynane kończyć, nowe rozpocząć.

Żyć pragnął; śmierci nie chciał i — nie spodziewał się jej.

Tem tłomaczymy sobie fakt, który nas uderzył i zadziwił. Znaliśmy Kraszewskiego przekonania i uczucia religijne i czekaliśmy na to, ażeby im wyraz dał. Czekaliśmy jednak nadaremnie. Nikt z czuwających przy nim, przez cały przedśmiertnego pobytu jego w Genewie czas, nie dostrzegł, ani dosłyszał objawu najmniejszego, świadczącego, że duch umierającego zwraca się ku tym sferom, ku którym zwracać się nakazują przepisy kościelne. Bóle wydzierały mu z ust wykrzyknik: „o, Jezu!" Raz odezwał się: „Uniescie mnie!.. Duchem mnie podnieście!" Oto wszystko, co się do sfery zagrobowej odnosiło. Po za tem, ani się pomodlił, ani przeżegnał, ani się o przygotowanie na drogę wieczności nie upomniał. Czekaliśmy na to, w pogotowiu uczynienia skinieniu jego zadość. Pani M. zostawiła w mieszkaniu chorego adres księdza Du Frêsne, staruszka, znanego z cnót i rozumu, na wypadek, gdyby pociechy religijnej zażądał. Nie zażądał — nie dał nawet powodu najmniejszego do tego, ażeby mu żądanie to na myśl nasunąć. Bośmy i na to przygotowani byli, a to dla usunięcia od siebie posądzenia, zgwałcenia w jakibądź sposób przekonań nieboszczyka. Powstrzymywaliśmy się jednak od wspominania mu o księdzu. O księdzu wspomnieć znaczyło: człowieka, żyjącego jedynie nadzieją życia, nadziei tej pozbawić. Nie mogliśmy, nie wolno nam było dopuścić się okrucieństwa podobnego. Pomogliśmy Kraszewskiemu skonać spokojnie.

Nastręcza się tu samo przez się zapytanie: skąd się wziął telegram, oznajmujący, jako-

by się Kraszewski spowiadał, komunikował, przyjął ostatnie olejami świętemi pomazanie, jakoby umarł w obecności d-ra Grousta i rodziny i jakoby na wieść o śmierci jego zebrały się przed hotelem tłumy? Ani się spowiadał, ani komunikował; olejów świętych nie przyjmował; doktora nazwiskiem Groust w Genewie nie ma; z rodziny syn jeden nie wcześniej jak w dniu 19 marca z Warszawy wyjechał; publiczność genewska dowiedziała się o śmierci Kraszewskiego nazajutrz dopiero.

Skądże się wiadomość podobna wzięła?— inaczej: w jakim ona zmyśloną została celu?

Przy śmierci każdego niemal wielkiego człowieka pojawia się wiadomość tego rodzaju. Nie chodzi o to, czy jest, czy nie jest ona prawdziwą. Jeżeli prawdziwa, daje pochop do szerokich na temat przykładności nieboszczyka rozpraw: w razie przeciwnym — służy za reklamę, sprawiając hałas. Nikt zręczniej nad stronnictwo klerykalne reklamą nie manewruje. W pamięci świeżej mamy wrzawę, jaka się zrobiła z powodu śmierci Pawła Bert. W okazyi tej także telegram pośredniczył — telegram, który pochodzić miał od biskupa jakiegoś. „P. Bert, umierając, księdza do siebie wezwał.“ Sprawa się w końcu wyjaśniła — biskup się telegramu wyparł; wrzawa jednak swoje sprawiła i za lat jakich pięćdziesiąt, wcześniej nawet, pojawi się twierdzenie, oparte na dowodzie „czarno na białem,“ że P. Bert, równie jak Voltaire, w godzinę śmierci za grzechy żal okazał. Wywoła to polemikę i znów będzie reklama. W odniesieniu do Kraszewskiego przyszli historycy będą mieli dowody w pełnych namaszczenia na temat religijności głębokiej rozprawach, zamieszczonych, na podstawie telegramu skłamanego, w dziennikach poważnych. Wszystkie „poważne“ pisma nasze nie omieszkały zaznaczyć z naciskiem szczególnym cnoty tej w Kraszewskim, stwierdzonej spowiedzią, komunią i olejem świętym.

Że nieboszczyk religijnym i głęboko religijnym był, temu przeczyć nie myślę. Był jednak religijnym po swojemu. Wierzył, ale nie praktykował i od domowników jego, których się o to, zdziwiony zachowywaniem się jego w obliczu śmierci, rozpytywałem, słyszałem, że szczególnie od czasu wyjścia z więzienia magdeburskiego, zaszła w nim we względzie tym zmiana niejaka. Zachowywał zwyczaj żegnania się, gdy do stołu siadał. Nie widziano go atoli, ażeby pacierze odmawiał. We Włoszech do kościoła na nabożeństwa nie chodził i z księżmi się zgoła nie wdawał. Dawniej, gdy wyjeżdżał, zabierał ze sobą „Złoty ołtarzyk,“ do którego od czasu do czasu zaglądał. Wybierając się w styczniu r. b. do Florencyi, gdy go zapytano, czy „Złoty ołtarzyk“ do walizy mu włożyć, odpowiedział: „Nie potrzeba.“ W przekonaniach przeto religijnych jego nastąpiła modyfikacya jakaś, z którą na jaw nie występował a która była tem dziwniejsza, że się objawiła w starości — w latach, w których ludzie pospolicie do dziecinnych wracają wrażeń i wierzeń. Że jednak wierzył, o tem najmniejszej nie mam wątpliwości, o tem bowiem świadczy tak to, co pisał w czasach ostatnich, jako też (świadectwo to ma szczególną w oczach moich wartość) to, co mówił i czego nie mówił. W czasie jesiennej jego (1886) w Genewie bytności długie upływały nam na rozmowie we cztery oczy godziny; dotykaliśmy przedmiotów rozmaitych; dotykania jednak materyi wiary unikał on, unikałem ja nie dla czego innego, jak przez wzajemny dla przekonań naszych szacunek. On znał przekonania moje, ja znałem jego i uznawaliśmy w sposób milczący, że pozostawanie przy nich przyniosć nie może szkody nikomu i niczemu. O! Kraszewski wierzącym był.

Wierzącym był nie dla wystawiania wiary swojej na widok publiczny, nie dla modlenia się po rogach ulic i nie dla wygłaszania haseł bałamutnych. Może nie wierzył we wszystko. Może taka np., jak nieomylność ojca świętego, innowacya, wątpliwości w nim niejaką wzbudzała. Może z Syllabusem nie sympatyzował. O ile wiem, w kwestyach tych nie wypowiadał zdania swego publicznie. Ale w jakiej kwestyi publicznie się wypowiedział, to w sprawie, w której kościół rzymsko-katolicki nie pozwala, ażeby wierni byli innego, aniżeli kurya zdania, mianowicie: w sprawie wyzwolenia i zjednoczenia Włoch i związanej z nią władzy doczesnej papieża. Odważył się on być za pierwszą a zatem przeciwko drugiej. Dopuścił się zbrodni tej. A jest to zbrodnia nie do wybaczenia w świecie, w którym panuje ta reguła praktyczna: „Kto nie z nami, ten przeciwko nam.“ Mógłby był sobie wierzyć, albo nie wierzyć, grzeszyć, ileby zechciał, byle do spółki ze spowiednikami i nie „szerząc zgorszenia,“ to znaczy, biorąc na seryo nie to, co się tyczy religii, ale to, co się tyczy kościoła. Kraszewski szedł drogą odwrotną. To też nie uwzględniono mu tego, że we wszystkich utworach jego wiara czystym goreje płomieniem, że zawsze góruje ona nad rozumem, że wszędzie, gdzie jeno postać księdza na scenę wyprowadza, przedstawia ją nie inaczej, tylko jako poważnego anioła stróża, przewodniczącego na drodze cnoty i jaśniejącego rozumem prostym a zdrowym. Kraszewskiego księża sieroty na ludzi kierują, zbłąkanych na drogi naprowadzają, stadła skłócone godzą, upadłych podnoszą, przykładem świecą, niczego się co by ich ośmieszało nie dopuszczają, słowem są to istoty doskonałe, siebie i instytucyę, której służą, kochać nakazujące. Nic to mu jednak nie pomogło. Nieuznawanie potrzeby władzy świeckiej głowy kościoła dla dobra chrześciaństwa wpychało go do kategoryi tej samej, do której zaliczają się Pawły Berty, Littre'owie, Michelety, Renany i im podobni. Piętnowało go to zbrodniczością — grzechem śmiertelnym. Nie zapomniano mu tego w roku 1879, kiedy naród na Kapitolu czoło jego sędziwe, półwiekową pracą nadludzką pochylone, wieńczył. I dlatego to z jego strony potrzeba było żalu przedśmiertnego, obwieszczonego światu za pomocą telegramu zmyślonego.

„Spowiadał się, komunikował, oleje święte przyjął“ — to znaczy: do grzechu się przyznał i odpuszczenie uzyskał. Dla narodu, którego wyobrazicielem był, szykowano stąd naukę i przestrogę.

Nie spowiadał się, nie komunikował i olejów świętych nie przyjmował. Ani o tem pomyślał. Nikt mu tego nie przypomniał. Że sam nie pomyślał, tłomaczy się to tem, że żyć pragnął i żyć się spodziewał. Że mu nikt nie przypomniał, pochodzi to stąd, że pomiędzy tymi, co go w ostatnich życia jego momentach otaczali, nie znalazł się okrutnik ani jeden. Jeżeli jest jaki sąd pośmiertny, z pewnością nie osądzi on surowo ani Kraszewskiego, ani nas za niedopełnienie formalności regulaminowej. Kraszewskiemu policzy się jego sumienne, bezwytchnieniowe, żelazną wytrwałością naccchowane, przykładem świecące kapłaństwo pracy; nam zaś uwzględni się może rzecz jedna, to mianowicie, że nam w piersiach biły — serca ludzkie.

T. T. Jeż.

POGRZEB KRASZEWSKIEGO.

Kraków, 18 kwietnia.

„W imię Pańskie. Amen. Ku wiecznej pamięci potomnych zapisuje się, jako w dniu 18 kwietnia R. P. 1887, w poniedziałek po niedzieli przewodniej, w grobie zasłużonych w Krakowie na Skałce u św. Michała po uroczystym pogrzebie, kosztem miasta sprawionym, złożono zwłoki ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego, urodzonego w Warszawie 29 lipca 1812 r., a zmarłego w Genewie dnia 19 marca 1887 r. Działo się to wobec niżej podpisanego komitetu pogrzebowego, rodziny i licznego współudziału obywatelstwa.

Te słowa nieliczne, spisane według kościelnego obrządku na karcie pergaminowej, włożone wraz z trumną pod kamienne wieko grobowca, streszczają w sobie całe doniosłe zdarzenie — pogrzeb Kraszewskiego. Słowami temi, jako aktem urzędowej powagi teraźniejszość przekazała potomności potężne imię, zamknęła z niem obrachunek— powierzyła je przyszłym pokoleniom. Kraszewski, złożony w grobowcu zasłużonych, przestał być człowiekiem dnia, doby, stał się tem, co nosi miano wielkości narodowej. Kiedyś po wiekach, skoro czas odwali głazy sarkofagu a oczy ludzkie znowu czytać będą w pergaminowym zwoju, nikt zaprawdę nie dozna zdumienia, nie zapyta: „za co mu tę cześć oddano.

Pogrzeb był godny zmarłego i godny narodu, który go odprawił. Nie brakło mu niczego, bo nawet nieobecności tych, którzy złem słowem próbowali kazić niezastygłe jeszcze rysy krzewiciela prawdy. Przemilczeć trudno, że duch stronniczy starał się ocienić chwałę dnia zastrzeżeniami bardzo niewczesnemi, że w kościele dwaj przedstawiciele wyższego duchowieństwa potrącili o strunę, której nie godziło się tykać, że mowom niektórym nie zbywało na banalności — ale to było do przewidzenia, to nie przeżyje ani godziny i nie zaważy nawet pyłem marnym na szali, przechylonej ogromem powszechnego zapału. Wspomnienie pogrzebu stanowić będą te nieprzeliczone tłumy, płynące ulicami starego grodu; ten kir, osłaniający skrzydłami żałoby mury odwiecznych kamienic, nieprzejrzany okiem korowód wieńców z całego świata nadesłanych a niesionych rękami ludzi wszystkich warstw, stanów, wyznań i przekonań; ten bezimienny z pozoru tłum pochylonych głów, z których tyle przecież stanowi podporę kraju, nauki i sztuki.

Szczególnie potężny był widok, kiedy przez Rynek krakowski — pomiędzy kościołem Panny Maryi, kolosem gotyckiej sztuki a kolumnami i arkadami kutych z piaskowca podcieniów Sukiennic — przesuwał się pochód wśród powagi milczenia; na olbrzymim stosie wieńców, wstęg i kwiatów unosiła się niewielka dębowa trumna, otoczona całym przepychem tradycyi średniowiecznego mieszczaństwa krakowskiego, szumem chorągwi cechowych, jak stadem barwnego ptactwa.

W tej chwili stokroć lepiej, niż kiedybądź, musieli poczuć ludzie, że ten biedny, schorzały tułacz, grzejący niedawno swe dłonie słabe w promieniach południowego słońca, dziś martwy, przykryty na zawsze wiekiem trumny, był siłaczem nadludzkiej niemal miary, i że brzemię, które on niósł sam — wielu, wielu ramionom zaciężyć by musiało. Pamięć tej chwili będzie ostatnim groszem tego bajecznego nieledwie spadku, jaki Kraszewski przekazał potomności. Mało takich jak on pochował naród bogaczów.

W. P.

KARTKI ESTETYCZNE.

XVIII. Książka o książce.

Trudno zaprzeczyć, że największą dziś potęgą (po księciu Bismarku rozumie się i jego „magazynierkach“) jest — książka.

Będąc przez długi czas jedynie zwierciadłem życia, stała się ona od końca zeszłego wieku działaczem, życie to urabiającym. Rewolucya francuska i wszystko, co z niej wyszło, gdzież miały swe źródło, jeśli nie w książce? Czy nie z książki również płyną wszystkie prądy, przekształcające i w treści i w formie dzisiejsze społeczeństwa?

Zaledwie pojąć możemy: jak bez tego potężnego czynnika obywać się mogła zamierzchła przeszłość. Myśl, która dzisiaj na kolorowych skrzydłach broszury przebiega ptakiem całą kulę ziemską, wówczas potrzebowała wieków całych, aby dostatecznie w grunt społeczny wsiąknąć i użyźnić go sobą. Co prawda, zastępowało wówczas książkę żywe słowo rapsodystów, kapłanów, proroków...

Uchylając czoła przed potęgą książki, z ciekawością przeglądamy rodowód jej oraz dzieje stopniowego rozwoju. A dokumenty te przynosi nam właśnie świeżo wydana praca p. Henryka Bouchot p. t. *Le livre* (Paryż, A. Quantin, 1887).

Ta nowa książka o książce stanowi część wychodzącej od lat kilku w Paryżu wybornej „Biblioteki nauk, mających związek ze sztukami pięknemi“ (*Biblioteque de l'enseignement des beaux arts*), i podobnie jak wszystkie poprzednie tomy, odznacza się jasnym wykładem, praktyczną wartością, formą przyjemną dla oka i ceną mniej niż umiarkową.

Z seryi tej wyszło dotąd dwadzieścia kilka podręczników, których większość dałaby się z niemałym pożytkiem przyswoić naszemu językowi i naszej ubożuchnej literaturze estetycznej.

Przedewszystkiem domaga się spolszczenia rodzaj encyklopedyi sztuk pięknych p. t. *Lexique des termes d'art*, dzieło niezbędne każdemu artyście, estetykowi, krytykowi estetycznemu i wszystkim zgoła, którzy o sztuce chcą rozprawiać — chociażby tylko w salonach i salonikach. Dzieło to, nader sumiennie opracowane, podaje na 420 stronicach, w dwie kolumny drukowanych, około pięciu tysięcy alfabetycznie ułożonych objaśnień, dołączając do nich przeszło tysiąc czterysta drobnych, ale starannych i poprawnych rysunków. Wszystko zaś to, wydrukowane na papierze grubym i gładkim i oprawione trwale w płótno z czarnymi i złotymi wyciskami, kosztuje 4 franki 50 centymów, czyli przy nizkich obecnie naszej walucie około dwóch rubli. U nas oryginalne opracowanie podobnej książki, najprzód: nie dorównałoby wartością wydaniu francuskiemu, a powtóre: kosztowałoby rubli kilkanaście.

I dlatego powtarzam, dzieło to wypada przetłomaczyć, korzystając z gotowej pracy literackiej i rysunkowej, co koszt nakładu nieskończenie pomniejsza.

Ale powracam do ostatniego tomu tego pożytecznego wydawnictwa.

Tom ten zajmuje się jedynie zewnętrzną stroną książek, to jest: drukiem, papierem, ilustracyami, oprawą itp., przyczem wykazuje na przykładach, że nawet i na tej zewnętrzności każde stulecie zdołało wycisnąć właściwe sobie piętno.

„Książka — mówi autor — prosta i szczera w pierwszych latach po swem poczęciu, ulega już w XVI wieku polotnym wpływom Odrodzenia, bywa naprzemiany hulaszczo wesołą i uczenie rozprawiającą, ozdabia się rysunkami przeróżnych niebywałych *historyj*, używa delikatnych czcionek gotyckich, romańskich i tak zwanych italików (kursywy). W końcu tego stulecia zamienia płyty drewniane na metalowe i dochodzi do przesady, zarówno w mistycyzmie jak w satyrze, oddając jedno i drugie na usługi sporom religijnym i politycznym. Następnie, ulegając wpływowi rządów wielkiego monarchy, jego dworzan i artystów, przeistacza się z gruntu i wkłada, że tak powiemy, perukę. Strojna i wspaniała, ozdabiająca się kolumnami i pilastrami, które zastępują właściwe Odrodzeniu arabeski i ozdoby z liści, przybiera w następnych latach zalotne miny, zwykłe czasom Regencyi, a po ckliwej sielankowości epoki następnej, staje się nagle poważną i surową, i drapuje się w klasyczne szaty greków i rzymian razem z bohaterami wielkiej Rewolucyi.“

Charakterystyki książki dzisiejszej autor nie podaje; możemy go jednak łatwo w tem wyręczyć.

Wiele znamion naszego, kończącego się stulecia znalazło swe odbicie w książce. Nadprodukcya, duch spekulacyjny, zamiłowanie w elegancyi powierzchownej i niezdrowej, oraz tymczasowość przeszkadzająca wytworzeniu dzieł wykończonych i trwałych — wszystko to odcisnęło swe piętno na zewnętrzności naszych książek.

Nasz wiek jest rodzicem książek, drukowanych na papierze olśniewająco białym, który wzrok psuje, w okładkach pstrych, jak pstrą jest barwa dzisiejszej cywilizacyi, sklejanych niedbale, jakby liczono zawczasu na krótki ich żywot i niedługą również użyteczność.

Poważny wolumin z wieku XVII naprzykład, przy dzisiejszem wązkiem, niby suchotniczem *in-octavo*, błyszczącem welinowym papierem, jak elegant gorsem krochmalonym, i pyszniącem się perełkowemi literami, które ćmią się w oczach i uwagi czytelnika skupić nie potrafią — wygląda jak poważny mąż w szacie powłóczystej przy kuso ubranym zdechlaku...

Po welinie oczy i myśl prześlizgują się szybko; papier szorstki nieco i przyćmiony powstrzymuje i opóźnia bieg wzroku i umysłu. W pierwszym razie, doznajemy wrażenia podróży koleją żelazną; w drugim odbywamy drogę na toczącym się zwolna wózku, lub nawet *per pedes*. Tam, odbieramy wrażeń dużo, ale powierzchownych i nietrwałych; tutaj, każde z nielicznych wrażeń, dostatecznie przemyślane i przeczute, zmienia się w żelazny ducha naszego kapitał.

Natomiast, słońce wiedzy, dawniej skupionem światłem ozłacające same tylko szczyty, dziś w milionie drobnych promyków rozprasza się po nizinach. Tania broszura i tańszy od niej dziennik, nakształt szarego ptactwa pól i lasów, lecą do najbardziej ustronnych zaścianków. Starożytny foliał wymagał odpowiednich stołów lub pulpitów, poważnych szaf bibliotecznych lub archiwalnych, wielkich komnat magnackich lub klasztornych; książce dzisiejszej wygodnie i na poddaszu i w suterenie, schowana zaś w kieszeń iść może z czytelnikiem na pielgrzymkę najdalszą, dotrzymując mu towarzystwa w samotności lasu, morza i górskich wąwozów.

Potrzeba uzmysłowiania literackiej treści książki w obrazku, po wszystkie czasy była silną i domagała się zaspokojenia. Ilustracya drzeworytowa liczy tyleż lat istnienia, co druk. Pierwotnie na jednej płycie drewnianej wyrzynano litery tekstu i linie obrazka; później dopiero, przy użyciu czcionek ruchomych, drzeworyt rozpoczął odrębne istnienie.

W pracy p. Bouchot znajdujemy podobizny najpierwszych prób ilustracyjnych, treści religijnej i światowej. Zdaje się, że słynny *Taniec śmierci* (Holbeina i licznych jego naśladowców), będący ewangelią całego średniowiecza, pierwszy doznał tego zaszczytu, że go rozpowszechniano w odbiciach drzeworytowych. Później przyszła kolej na *Boską komedyę*, *Dekameron* Boccaccia, *Naśladowanie Chrystusa* Tomasza à Kempis, a wreszcie na łacińskich i greckich poetów.

Większość owych prób rozśmiesza nas dziś naiwnością rysunku i kompozycyi, nie trzeba jednak zapominać, że już w końcu XV-go wieku zjawia się Albert Dürer, i swemi świetnemi ilustracyami *Apokalipsy* rozpoczyna nową erę rysunku książkowego.

Jednocześnie drzeworyt, uznany za formę niedostateczną, ustępuje miejsca miedziorytowi, który dochodzi wkrótce do znakomitej doskonałości; posługują się zaś nim tacy nawet artyści, jak Rembrandt.

Wzgardzony niesprawiedliwie drzeworyt odzyskał swe prawa dopiero w końcu zeszłego stulecia, kiedy pod mistrzowskim rylcem anglika Tomasza Bewick, okazał wielką, malarską niemal siłę, jaką w swych tonach i półtonach posiada.

Jednocześnie z drzeworytem przyszła do pierwszorzędnego znaczenia akwaforta, do dzisiaj jeszcze chwili posiadająca genialnych przedstawicieli — nie u nas naturalnie.

Już to wogóle, przeglądając książkę, o której mowa, będącą obrazem wszechświatowego ruchu w pewnej gałęzi sztuki i umiejętności, napróżno śledzimy za polskiem nazwiskiem. Raz jeden tylko w rozdziale, poświęconym XVIII wiekowi, wydobywa się ono na wierzch — bez objaśnienia jednak, iż artysta noszący je był polakiem. Wymienionym przez autora artystą — i to artystą pierwszorzędnym — jest Chodowiecki. Na nieszczęście, uczyniono go tam niemcem. „Dwaj artyści (słowa książki) po za granicami Francyi zajęli wybitne stanowisko, około połowy zeszłego stulecia w dziedzinie ilustracyi książkowej: *w Niemczech* Chodowiecki, urodzony w Gdańsku, w Anglii Bartolozzi, urodzony we Florencyi.“ Tak mało posiadamy, a jeszcze i to odebrać nam musiano!

Ograbianie naszego narodu ze znakomitych artystów i uczonych, powtarzające się od dawnego czasu systematycznie, mógłby kto składać na karb fatalności — jest zaś ono objawem zupełnie naturalnym. Artyści i uczeni nierzadko żyć musieli u nas po za społeczeństwem — szukać chleba, swobodnego oddechu i... wawrzynowego listka na obcej ziemi; wówczas też dopiero poznawaliśmy, że ci zbyteczni posiadają wartość społeczną, gdy obcy ukraść nam ich chcieli. Ale i tu jeszcze pozostaje do rozwiązania kwestya: czy wypada nazywać „kradzieżą“ adoptowanie podrzutka, którego wykarmiło się własnym chlebem, ogrzało własnem sercem i dało mu się warunki potrzebne do tego, aby został tem, czem został?..

Książka o książce, wyczerpując bogaty swój przedmiot, poświęca jeden z obszerniejszych rozdziałów umiejętności oprawiania książek, czyli introligatorstwu.

Dla nas, którzy bardzo licho drukujemy książki, gorzej zaś jeszcze je oprawiamy, odczytanie tego rozdziału jest także samą idealną uciechą, jak dla człowieka głodnego wertowanie książki kucharskiej.

Ach! myśmy po wszystkie czasy byli idealistami, zapatrzonymi w gwiazdy i... miraże i pełnymi wzgardy dla takich powszednich marności, jak artystyczne rzemiosła lub estetyka życia powszedniego.

I dlatego to właśnie zauważyć dziś u nas można ten objaw osobliwy, że nie brak nam pisarzów, stawiających literaturę naszą na równi z zagranicznemi, jednocześnie zaś nie posiadamy ani papiernika, ani drukarza, ani introligatora, którzyby europejskiej wartości dzieła umieli czynić książkami, po europejsku wyglądającemi...

Prawda, że stosunek odwrotny byłby o wiele gorszym; i ten wszakże nie należy do normalnych.

Zresztą, zewnętrzności książki nie wypada lekceważyć, choćby z tego względu, że wpływa ona w stopniu niemałym na jej poczytność. Ktoś z ludzi, obdarzonych odrobiną estetycznego smaku, a choćby tylko pewnym wyższym stopniem wrażliwości nie uczuwał na sam widok jednych książek mimowolnego do nich pociągu, a na widok innych mimowolnego również wstrętu i zniechęcenia?

Pod tym względem wydawca — nie mówiąc już o drukarzu, introligatorze itp., którzy jedynie wskazówek jego słuchają — powinien być choć trochę artystą. Sharmonizować treść książki z jej zewnętrznością,

sprawić, aby dzieło samym wyglądem charakter swój zapowiadało, nie dopuścić, aby tom poezyi miał pozór książeczki notatkowej, a praca filozoficzna wdzięczyła się połyskiem welinu i ornamencikami drukarskiemi — oto najpierwsze punkta katechizmu wydawniczo-estetycznego.

Piękno, będące ongi ambrozyą bogów i wieszczów, nasze czasy starają się uczynić chlebem powszednim, któryby wykarmiać mógł tłumy.

A prócz estetyki dobrze byłoby także uwzględnić i — hygienę.

Rażąca białość i fatalny połysk dzisiejszych papierów, kształt czcionek, wątłych i doprowadzonych niekiedy do mikroskopowych rozmiarów, a wreszcie złączona z tem wszystkiem konieczność dziesięćkroć dłuższego niż dawniej ślęczenia nad drukowanem — powodują choroby oczu i nerwów, nieznane naszym praojcom.

Jednem słowem: niezależnie od wartości dzieł, należy podnieść wartość — książek.

A stosuje się to przedewszystkiem do nas, którzy przeważnie wypuszczamy w świat tandetę drukarską, mogącą stanąć obok berdyczowskiej, bez szkody dla Berdyczowa.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Po pogrzebie. — Wartość wymierzona stratą.— Arystokracya ducha. — Wielki pan literatury. — Korzyści oddalenia. — Czemu Kraszewski nie mieszkał śród swoich? — Potrzeba odświeżenia atmosfery. — Rozprawy Karłowicza o imionach polskich. — Słowniczek Radlińskiego. — „Nieprzyjaciel kobiet.“ — Skarga zaniepokojonych. — Względna słuszność.

Już ostatnie odgłosy dzwonów pogrzebowych zamilkły i w podziemiach Skałki krakowskiej legł na wieczne odpoczywanie wielki pracownik. Zdaje się, że grób usłyszał z jego piersi jedno głębokie, przeciągłe westchnienie. Rozeszli się żałobnicy do domów, a goniąc jeszcze myślą potężny cień, odsuwający się w przeszłość, widzą ze zdumieniem, jak on, zamiast maleć, coraz bardziej olbrzymieje. Tak jest, do Kraszewskiego zastosować można owe często powtarzane słowa poety: „ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił.“ Niewielu wypełzło tych, którzy z uroszczeniem do znajomości skarbca literatury narodowej świętokradzką ręką chcieli między marne głazy wrzucić ten drogocenny klejnot; ogół oświecony czuje dziś, co w tym nadzwyczajnym człowieku posiadał i co w nim stracił. Jeden tylko ubył — a jaka pustka w piśmiennictwie! Ogarnie nas ona jeszcze dotkliwiej, gdy się dopalą ostatnie jej światła, tu i owdzie w kolumnach prasy płonące. Chwilami marzy się nam, że to niepodobieństwo, ażeby Kraszewski odszedł na zawsze, ażeby wypuścił z rąk swój niewyczerpany róg obfitości — tak on zrósł się z naszą literaturą, tak ważnym był dla niej organem. Ale odszedł — w wieńcach i śród błogosławieństw, z któremi zmięszała się garść niskich złorzeczeń. I ten dowód jego wielkości był potrzebny, nie ścierajmy go więc ze zbyt mocnym wstrętem.

Ci z pomiędzy czytelników moich, którzy jak ja, są wyznawcami arystokracyi duchowej, którzy nie mogą pobratać się i pokumać z umysłowym motłochem, którzy chcieliby przestawać z wyborem rodu ludzkiego, rozumią żal, jaki, po za uczuciem szkody miejscowej i czasowej, sprawia śmierć dostojnego człowieka. A Kraszewski był panem, arystokratą, wysokim magnatem literatury. To nie zagonowy jej szlachetka, nie ciemny wieśniak, nie ograniczony wyrobnik lub płytki mieszczanin, nie wójt jakiejś dziennikarskiej gminy, proboszcz parafii lub naczelnik powiatu prasy, to mocarz pióra, któremu mętny muł drobnostek pod stopami przepływał i nawet w najburzliwszem wezbraniu do ust nie sięgał. Wyznać winniśmy, że stały pobyt za granicą, ciągłe oddalenie od pola walk naszych, które zwykle bywają, a z natury i rozmiarów życia muszą być małemi, pomagało Kraszewskiemu w utrzymaniu się na wyżynie. Mieszkając w Warszawie, gdzie opinia ma w źrenicach swego wyroku soczewki zmniejszające wielkość ludzi dużej miary, gdzie oni w młynie spraw mizernych wkrótce się mielą, gdzie wrzaskliwy jarmark na głupstwa wciąga ich w swój odmęt — nie zdołałby ani wzlatywać ponad padół powszedniości, ani tyle wypracować. Wrócił do swej ziemi wtedy, kiedy już stał się dla niej tylko drogą pamiątką, kiedy potrzebował tylko spocząć w tem macierzystem łonie, które go urodziło. Nic mu nie przeszkadzało zamieszkać śród swoich, w Galicyi, a jednak wolał osiąść na obczyźnie, bo czuł, że tam nie będzie musiał zejść ze swego podniosłego stanowiska, że chata rodzinna ma powietrze zbyt duszne, że zdala będzie dla niej pożyteczniejszym. Niestety, do tego wniosku dochodzą u nas coraz częściej duchy lepsze, pragnące bujać po przestworzach, a nie łamać skrzydeł w szczupłym kurniku swojskim. Czyż to nie wskazówka wymowna — na ile ona dla naszej woli jest przestrogą i po za nią nie sięga — że powinniśmy naszą atmosferę umyślową tak oczyszczać, ażeby nią również oddychać mogły piersi olbrzymów? ażeby oni nie uciekali od nas żywi i nie wracali jedynie umarli?

Ale uczciwszy grób niezapomniany, wyjdźmy z cmentarza na pole życia i zbierajmy na niem dojrzałe kłosy. Szanowny współpracownik *Prawdy* i wielce ceniony badacz J. Karłowicz, który wkrótce z wędrówki wraca do kraju, zamieścił w *Pamiętniku fizyograficznym* i w oddzielnej odbitce wydał rozprawę: „Imiona własne polskich miejsc i ludzi od zatrudnień“ (Warszawa). Przed dwoma laty tą samą drogą dał on literaturze inną, p. t.: „O imionach własnych polskich miejsc i ludu,“ w której oznaczył rozgałęzienia, przekształcenia i zróżniczkowania t. z. imion chrzestnych, wykazując przytem, jak z nich powstały dzisiejsze nazwiska rodowe i miejscowe. Tytuł obecnej określa jej treść. „Przedstawia ona — jak mówi autor — zabytek cywilizacyjny, pamiątkę przodków naszych, występujących po raz pierwszy do walki o byt z orężem przez kulturę wskazanym, idących drogą przemysłu w najobszerniejszem słowa rozumieniu i drogą uporządkowania społecznego, co wszystko upamiętniło się w niezliczonych nazwiskach miejsc i ludzi, które brzmią jeszcze podziśdzień i oby nigdy brzmieć nie przestały.“ Niestety, język nasz jest coraz bardziej mową Babelu, szwargot z wszechświatowej mieszaniny zagłusza jego dźwięki rodzime, które giną gdzieś w oddali, jak milknące echa. A wiecie też twórcy gwary warszawskiej, co to znaczy: *łagiewnik, ochlica, świepietnik?* Nie, ale za to wiecie, co znaczy: *leader, sistować, stypulacya* itp.

Jak dużą pożyczkę język nasz zaciągnął u cudzoziemców, przekonywa w drobnej cząstce słowniczek p. L. Radlińskiego, zawierający: „Wyrazy obce w sonetach krymskich Mickiewicza“ — w utworach, które dla mnie są szczytem, do jakiego wzniósł się artyzm poezyi opisowej całego świata. Obfitość słów obcych przebaczamy genialnemu poecie ze względu na przedmiot, który jego muzę wspaniałym śpiewem natchnął. Dla czytelnika wszakże, niewtajemniczonego w rodowody mowy naszej, książeczka p. R. zawiera wiele niespodzianek. Bo zapewne niejeden zdziwi się, że: anioł, chwila, fala, gmach, herb, kształt, pielgrzym, ster itp. są to wyrazy nie polskie, choć już w języku uprawnione. Zdziwienia takie są daleko bardziej pouczające, niż przypuszcza dość bezmyślna drwina z „bezpłodnych dociekań filologów.“

Głośny fejletonista niemiecki F. Gross, zaczął wydawać w Wiedniu pismo miesięczne p. t. *Nieprzyjaciel kobiet*, zamierzając walczyć w obronie mężczyzn, „uważanych dziś za stworzenia niższego rzędu.“ Hasło to zbudziło niepokój nawet śród naszych „bożyszcz,“ jak wnoszę z listów łaskawie mi przesłanych. Jedna z autorek woła: „P. Gross przypuszcza, że kobieta tak dalece ukochała tę szatę arlekina, uszytą dla niej przez słabego i samolubnego mężczyznę ze strzępków kapłańskiej tuniki, królewskiej purpury, piór anielskich, skóry kameleona, zagadek sfinksa, którą zwykł zarzucać niekiedy na piętno jej niewolnictwa, iż tylko gwałt przymusić ją może do przeodziania się w jednobarwną suknię obywatelki ludzkości... Dziś mężczyzna, ten władca w przebraniu niewolnika, tak lichą, zdawkową monetą opłaca niewolnicy w płaszczu królowej swoje wygody, że korzystnego handlu niełatwo zrzec się zechce na korzyść idei.“

Nie wiem, co p. Gross wykładać będzie w swem piśmie, ale jako jednemu z pierwszych u nas, a w każdym razie gorętszych obrońców wyzwolenia niewieściego, niech mi wolno będzie przyznać, że w zasadzie ma on odrobinę słuszności. Mianowicie o tyle, że kobiety tegoczesne sięgają po prawa męzkie, nie chcą zrzec się pewnych przywilejów własnych, radeby one wszystko zdobyć w zakresie pierwszych, a najmniej stracić w zakresie ostatnich. Bo jakiż jest ideał wielu emancypantek? Otworzyć sobie wrota do każdego zawodu, do nauki i pracy, ale jednocześnie zachować sobie wygodne ustępstwa i przyjemne hołdy od strony przeciwnej, osiągnąć korzyści „płci silnej,“ ale nie zrzekając się wymagań „słabej.“ Kiedyś, chory i zmęczony, siedziałem na koncercie w Dolinie Szwajcarskiej. Zbliżyła się do mnie jakaś mama z panienką kilkunastoletnią, zdrową i rumianą, która spostrzegłszy jedno tylko próżne krzesło, rzekła uprzejmie: „Może pan będzie łaskaw ustąpić miejsca mojej córce.“ „Jestem wyznawcą równouprawnienia kobiet“— odparłem grzecznie i pozostałem na krześle. Mama obrzuciła mnie wzrokiem tak wzgardliwym, jakiegoby oszczędziła apostołowi niewolnictwa niewiast, a córka, która może była lub będzie emancypantką, skrzywiła usta złośliwie. Otóż, wypowiadając wojnę tego rodzaju głosicielkom „reformy“— Gross uderza w złe istotne. A czemu swe pismo nazwał: „Nieprzyjaciel kobiet“? Przypuszczam, że jest to pomysł jego wydawcy, który na wędkę jaskrawego tytułu chce łowić— ryby. Ponieważ zaś redaktor jest pisarzem wytrawnym i spostrzegaczem bardzo bystrym, zapraszam więc moje oburzone korespondentki do zapisywania się na tego „Nieprzyjaciela.“ Po co przeciw niemu zasłaniać się wachlarzem? Czemu nie spojrzeć mu w oczy? A może on właśnie prowadzić będzie bardzo sprawiedliwą krytykę wad i uroszczeń kobiecych. Regułę, że „każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje,“ można tu bez naciągania przeciwstawić skargom na samolubstwo męzkie. Kobieta powinna być wypuszczona z haremu i kojca, powinna korzystać z wszelkich praw człowieka, ale niech sądzi, że nie posiadanie praw jest już umiejętnością ich użycia.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Franek — żarłok.— Książkowstręt w Kaliszu. — Żądni światła w Lubelskiem. — Górą płeć słaba w Łodzi! — Stan umysłowy szlachty podolskiej. — Szynkarze w tużurkach. — „Nie przybrali się!“ — Projekty i czyny Towarzystwa rolniczego w Mińsku. — Czem jest sala posiedzeń? —Uczynność grodu 60-tysiącznego.— Szerszy horyzont nawy rolniczej w Kijowie.—Troski pieniężne włościan.—Pomysłowy farmaceuta.— Kiedy się szlachta interesuje sprawami ludu? — Lekarze - arystokraci. — Krzewiciele teoryj giełdowych. — Co radomianie myślą zbudować na cześć Kraszewskiego?

Szlachta zaczyna czytać pisma postępowe! Jakiś Franek z Radomskiego tak dalece posunął swoje zaciekawienie, iż pochłania wszystkie gazety, „jakieby one nie były“ (!). Nie wychodzi mu to jednak na zdrowie. Sam powiada w *Gazecie radomskiej*, że mu się myśl mąci; „czytasz, głowę i oczy męczysz i psujesz, a tyle ostatecznie wiesz, jakbyś wcale nie czytał.“ Smutny rezultat pracy umysłowej! Uwagi Franka dotyczą czterech pism: *Roli*, *Głosu*, *Przeglądu tygodniowego* i *Prawdy*. Pierwsze najbardziej mu się podobało, bo stamtąd „wszyscy umieją do nas, rolników, przemawiać i wiedzą, jak nam do przekonania trafić.“ Inaczej z *Prawdą*; „ona cię nie pożałuje, choćbyś nawet w sutannie chodził.“ Wzruszający powód do litości.

Ostrożniejsi są mieszkańcy Kalisza, bo nie obciążają swego umysłu zbyteczną mądrością. Dawniej było tam sześć księgarni, dziś jest ich tylko trzy i te istnienie swe muszą podtrzymywać sprzedażą tytoniu, materyałów piśmiennych i galanteryą. Za to obywatele w Lubelskiem koło Rejowca mogą innym za wzór posłużyć. Założyli wspólną czytelnię i spożywają strawę duchową. Oprócz wielu pism peryodycznych, każdy członek otrzymuje ośm tomów (z tych dwa treści poważnej). Panuje tam porządek wielki; nikt nie odkłada czytania z dnia na dzień, lecz się zabiera odrazu do pracy, aby na termin oznaczony odesłać książki sąsiadowi, łaknącemu światła. Tak się rzecz przedstawia według korespondenta *Gazety lubelskiej*. Oby tylko przy dostrzeganiu tych objawów życia umysłowego nie służyło do pomocy szkiełko różowe! Wszakże i księgozbiór łódzki z początku świetnie się zapowiadał. Zapisało się odrazu mnóstwo uczestników płci obojga, ale, o dziwy! jak tam czytano! Według *Dziennika* miejscowego, romanse i powieści pochłaniali: adwokaci, lekarze, inżenierowie, a poważniejsze dzieła czytały... kobiety! W kilka miesięcy pierwsi nie mieli już nic do roboty. Pozostała tylko garstka gorliwych mężczyzn i niewiast, żądnych posiłku duchowego. Niestety! pragnień swych nie mogli zaspokoić, gdyż z powodu szczupłej liczby członków, musiano książki rozlosować, a przybytek wiedzy zamknąć. Po długim letargu powstała znowu myśl założenia czytelni, lecz proszę zgadnąć, kto stoi na czele tego projektu? — kobiety!

Jeszcze smutniej przedstawia się stan umysłowy ziemian podolskich. Jak zapewnia korespondent *Kraju*, w pow. uszyckim zaledwie piąta ich część, i to przeważnie z większych posiadłości, prenumeruje pisma; reszta poprzestaje na poczcie pantoflowej i na polityce z czasów Stanisława Augusta. Radzi sobie szlachta jak może w tych ciężkich czasach — starsi bracia zakładają szynki po wsiach ku wygodzie młodszych! Czyż wobec tego można pomawiać ich o brak dobrej woli? Przeciwnie, dziś tak dalece jestem zwyciężony przykładami, iż ze skruchą odwołuję naganę daną przed dwoma miesiącami obywatelom gubernii mińskiej za niewnoszenie rat Towarzystwu rolniczemu. Już opłacają! Po długich korowodach, groźbach i odezwach, pozostawionych bez odpowiedzi, kierownicy nawy ziemiańskiej wpadli na szczęśliwy pomysł: przy odczytywaniu listy niewypłacalnych, każdego z nich brał w opiekę ktoś z członków obecnych, obowiązując się wykołatać zaległość, lub otrzymać stanowczą odpowiedź. Była do tego pora odpowiednia, gdyż doroczne zebranie Towarzystwa wzajemnego kredytu ściągnęło do Mińska wielu ziemian okolicznych, a między niemi sporo owych maruderów. „I cóż powiecie?“ — woła p. Wańkowicz w *Kraju*; — sądzicie może, iż powód ich niewypłacalności tkwił w złej woli lub czemś podobnem? Uchowaj Boże! Ot, poprostu: *nie przybrali się jakoś*. Przy sposobności jak najchętniej uiścili się z drobnego dłużku.“ Wogóle ta poważna instytucya bardzo często musi borykać się z tradycyjną lekkomyślnością i wiecznem *przybieraniem się* swoich uczestników. Robiono nieraz dalsze wycieczki dla zwiedzenia lepszych gospodarstw. Obiecywano o tem napisać sprawozdanie, ale prędko przyrzeczenie szło w niepamięć. Ktoś postanowił streścić jakąś obszerną pracę, ale nigdy do tego nie przyszło. W roku przeszłym ministeryum dla ścisłych doświadczeń przysłało kilka partyj superfosfatu; rozchwytano go, lecz dotychczas nic nie słychać o badaniach. W tymże czasie na posiedzeniu odczytano referat o licznych błędach gospodarstw rolnych. Z początku zapał wielki ogarnął słuchaczy; wielu przyjęło natychmiast bez namysłu zobowiązanie obrobienia szczegółowo każdego z działów tej sprawy. Minęło już kilka zebrań, a na każdem obiecane sprawozdania ciągle są jeszcze w projekcie. Za granicą takie stowarzyszenie rozdzieliłoby obowiązkowo na każdego ze swoich uczestników pracę dla ogólnego pożytku i w pewnym terminie zjawiłyby się w komplecie wyniki badań. U nas inaczej; sala posiedzeń, to resursa obywatelska, gdzie się przychodzi dla urozmaicenia czasu. Na obradach, zamiast poważnych rozpraw góruje gawędziarstwo, stopniowo przechodzi w anegdotki i rozmowę ogólną. W końcu zawsze się okazuje, że na pilne dyskusye czasu nie wystarczyło. Wobec takiego stanu rzeczy nie można wróżyć świetnej przyszłości Towarzystwu rolniczemu w Mińsku. Już to wogóle miasto owo nie przedstawia się dodatnio w kronice życia społecznego ostatniej doby. Dobroczynność, chcąc otworzyć tanią kuchnię dla ubogich, udała się do zarządu miejskiego z prośbą o 1,500 rs. jednorazowo, albo 90 rs. rocznie, jako procent od powyższej sumy. Miasto liczące 60,000 mieszkańców i 100,000 rs. dochodu, odmówiło tak błahej zapomogi...

Towarzystwo rolnicze w Kijowie, o którem bardzo mało zawsze słychać, w ostatnich czasach dowiodło, iż zadanie swoje szerzej pojmuje, niż mińskie, bo nie zasklepia się w potrzebach jednej tylko klasy. Z powodu ogólnego przesilenia ekonomicznego, liczba oficyalistów, wydalonych z posad przy roli i fabrykach, wynosi przeszło 4,000. Zwróciło to uwagę sterników ziemiaństwa ukraińskiego, którzy odbiegając na chwilę od własnych interesów, postanowili utworzyć osobny wydział pod zarządem hr. K. Ledóchowskiego, dla stręczenia zajęć oficyalistom. W tym celu mają być zawiązane stosunki z towarzystwami rolniczemi i przemysłowemi na Wschodzie, aby za ich pośrednictwem wysyłać pracowników w głąb Cesarstwa. Koszta utrzymania tej instytucyi przyjął na siebie hr. Branicki, głośny projektodawca. W ciągu kilku dni zapisało się niespełna 150 poszukujących pracy.

Trudne warunki bytu odbiły się i na włościanach w wielu miejscowościach. O tej sprawie zabiera głos p. Kuźnicki w *Gazecie radomskiej*, odkrywając zakulisowe strony trosk materyalnych ludu. Przeważna liczba chłopów musi na doraźne wydatki szukać pożyczek od 10 do 30, a czasem i więcej rubli. Wiadomo, że każda taka pożyczka pociąga za sobą rewers z własnoręcznym podpisem dłużnika. Że zaś większość jest niepiśmienną, czynność ta najczęściej musi być u rejenta. Dawniej było inaczej. Zagrodnik-kapitalista pożyczał biednemu sąsiadowi przy świadkach lub u wójta na słowo bez żadnego kłopotu. Kasy pożyczkowe gminne są za ubogie, iżby mogły choć w części zaspokoić potrzeby rolników kilkumorgowych. Włościanin ciemny, niepraktyczny, boi się wszelkich wydatków pieniężnych, więc i do rejentów z niechęcią idzie. Woli udać się do żyda, który, dzięki odwiecznej zażyłości, umie wytłomaczyć, że się nie wiele traci płacąc wygórowane odsetki. Wierzyciel taki zawsze chętnie pożyczy i potrafi zabezpieczyć sumę na mieniu chłopskiem bez nataryuszów. P. Kuźnicki, rozpisując się szeroko o utrudnionym kredycie dla włościan, podaje, jako najlepszy sposób ułatwienia im pożyczek — dopuszczenie świadków w sądach gminnych, lub przyjmowanie rewersów, poświadczonych przez wójtów gmin.

Jasną jest rzeczą, iż takie położenie wytworzyła ciemnota ludu. Bywa ona wyzyskiwaną w najniegodziwszy sposób przez ludzi więcej niż piśmiennych. Jeden z fejletonistów *Dziennika łódzkiego* opowiada o pomysłowym farmaceucie, który zdołał pozyskać zaufanie włościan. Lud prostoduszny znajdował u niego wszelkie lekarstwa zalecane przez znachorów: komarowe sadło, wężowe głowy, psie wątroby itd. Wynalazca cudownego sposobu uspokajał swe sumienie tem, iż czy tak, czy owak, chłop się zastosuje zawsze do rady znachora. Taką drogą aptekarz i samozwańcy-lekarze bogacili się krwawym groszem włościan, a prawdziwy doktór zapewne podziwiał pomyślny stan zdrowia w okolicy, mając niewielu pacyentów. Zanim się rozświetli widnokrąg pojęć chłopskich, warto byłoby w kodeksie karnym umieścić pod wspólnym paragrafem sposób zarobkowania znachorów i utalentowanego farmaceuty.

Z ręką na sercu trzeba przyznać, że winna temu w wielu razach nasza inteligencya ziemiańska i sami lekarze. Panowie dziedzice uważają za niegodne dla siebie wnikanie w szare życie ludowe. Wówczas tylko gorąco się niem interesują, gdy chodzi o robotnika lub służebności niezałatwione. Chłop ze swej strony, nasiąknięty wiekowym żalem za krzywdy niegdyś doznane, patrzy z nieufnością na okruszyny łaski pańskiej, jak pies u wrót, gdy mu obcy przechodzień rzuci kęs chleba dla ochronienia własnych łydek. Stosunek lekarzy do włościan, śmiało maluje, jako wynik swojej „szczerej obserwacyi,“ *Korespondent płocki*: „Proszę spojrzeć na chłopa stojącego u pana doktora w małem miasteczku. Poważny wyznawca Eskulapa traktuje go z góry, każe stać w przedpokoju, rozmawia szorstko, słowem, imponuje, jak gdyby umyślnie chcąc swoją wyższość pokazać.“ Nic dziw, że włościanin i bez tego ciężki do wytłomaczenia choroby, języka w gębie zapomina i drugi raz woli pójść do owczarza, gdzie z całą swobodą swoje cierpienia wyjawi.

Inne przykłady wyzyskiwania ciemnoty ludu wiejskiego i miejskiego podaje *Odess. Wiest.* z prowincyj kresowych. Handlarze starają się rozpowszechniać teorye zmiany kursu rubla takiemi drogami: do apteki przychodzi mieszczanin ze starą receptą. Aptekarz bierze 1 rs. 10 kop. za lekarstwo, które dawniej rubla kosztowało, tłomacząc się, iż przed tem papierek wart był 60 kop. złotem, obecnie zaś 55 kop. Drugi wypadek: włościanin kupuje w sklepie towaru na 85 kop., daje rubla i żąda 15 kop.; powiadają mu, że reszty nie otrzyma, gdyż papierek staniał o 15 kop. Chłop usta otwiera, słucha ze zdumieniem, co mu prawią i odchodzi w milczeniu, nie mogąc rozwiązać zagadki, jakim sposobem pieniądze tracą ustaloną wartość.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Generał-gubernator warszawski pozwolił na czas robót w polu sprowadzać do Królestwa Polskiego robotników wiejskich z Galicyi, pod warunkiem, iżby ci, którzy pozostaną dłużej niż miesiąc, legitymacye swoje poświadczali w odnośnych konsulatach

Goniec Urzędowy ogłasza rozkaz Najwyższy, iż dwie nowe posady buchalterów w biurach naczelników gimnazyów żeńskich w Petersburgu i Carskiem Siole, należących do wydziału zakładów Cesarzowej Maryi, mogą być oddane kobietom. Do posad tych przywiązana ranga klasy IX, pensya wynosi po 700 rubli rocznie.

W Baku natrafiono na nowe źródło nafty, która trysnęła strumieniem na 50 sążni wysokim. Siła wytrysku była tak wielką, że wyrywał z wnętrza ziemi spore kamienie. Większa część nafty spadła do jam w ziemi wykopanych, a gdy te już były napełnione, polała się reszta ku morzu. Bijącej z pod ziemi nafty nie zdołano wstrzymać.

Monopol tytoniowy. Ważniejsze punkty projektu: Plantatorowie mają pozwolenie siania tytoniu, płacąc stosownie do gatunku mniejszy lub większy podatek. Ilość plantacyj będzie z góry każdego roku określoną, aby uniknąć nadprodukcyi. Wyrób papierosów i cygar będzie się odbywał w fabrykach rządowych. Wyroby zagraniczne tylko rząd będzie sprzedawał. Do składu miejscowych zarządów wejdą urzędnicy akcyzy, technicy tytoniowi, kontrolerzy itd. Fabryki rządowe bądą pod zawiadywaniem dyrektorów i nadzorców nad magazynami

Prasa. W Rozborku, pod Bytomiem, na Szlązku pruskim, wychodzi co miesiąc czasopismo polskie ilustrowane dla ludu p. t. *Światło*. Zadaniem jego jest, oprócz dostarczania wiadomości gospodarskich, zaznajamianie ludu ze stosunkami społecznymi, z historyą i geografią kraju.

— *Wisła*, miesięcznik geograficzno-etnograficzny, zeszyt I, Warszawa.

— P. Julian Guranowski otrzymał koncesyę na wydawnictwo nowego dziennika p. t. *Gazeta informacyjna*.

La Russie Juive. Pod tym tytułem wyszła w Paryżu w tłomaczeniu francuskiem książka Kaliksta Wolskiego, „Żydzi i kahały.“ opracowana na podstawie dokumentów, wydanych po rosyjsku przez neofitę Brafmana. Przekładu dokonał polak.

Nowy materyał wybuchowy. W Woźnikach, na Szlązku górnym, dr Pietrowicz wynalazł nowy materyał wybuchowy „silezit.“ Jest on w górnictwie praktyczniejszy, niż dynamit.

W Konstantynopolu zawiązano kółko polskie, mające na celu zapobieganie nędzy miejscowej, oraz pomoc dla ubogich rodaków, rozproszonych w państwie.

W trzęsieniu ziemi d. 23 lutego r. b. w południowej Francyi i północno-zachodnich Włoszech, utraciło życie 646 osób, zaś 464 poniosło mniej lub więcej ciężkie rany.

W Paryżu utworzyło się towarzystwo, którego zadaniem jest walka z nałogiem palenia tytoniu. Postanowiło ono działać za pośrednictwem strachu; w tym celu wyznaczyło nagrodę 200 fr. i medal bronzowy za napisanie najlepszej rozprawy na temat: „o nieznanych dotąd objawach otrucia nikotyną.“ Praca, udowodniona czterema wypadkami rzeczywistej choroby, może być napisaną w jednym z pięciu języków: francuskim, niemieckim, angielskim, włoskim i hiszpańskim. Druga nagroda wynosi 600 fr. i medal złoty wartości 100 fr. za najlepszą pracę p. t. „Otrucie nikotyną, objawy, rozwój, skutki itd.“

Muzyka. W Krakowie wyszedł marsz żałobny, skomponowany przez A. Wrońskiego, poświęcony cieniom Kraszewskiego. Okładkę zdobi portret pisarza.

W gub. podolskiej w wielu miejscach obywatele ziemscy zwijają plantacye buraków, a natomiast powracają do pszenicy i żyta.

Z Saratowa zaczęto wydalać wszystkich żydów, niemających prawa pobytu w tem mieście. Między nimi są bogaci posiadacze od lat kilkunastu sklepów, kantorów wekslu itp.

Kradzież. W Krasnojarsku na poczcie, podług *Sibir. Wiest.*, przy otwieraniu pakietów i posyłek nadesłanych z Tomska 14 marca, okazał się brak 60,000 rubli, wysłanych z Petersburga do kantoru Banku państwa w Krasnojarsku. Torba, w której były pieniądze, została rozcięta, a następnie zaszyta.

Prezydentem m. Lwowa obrany został p. Edward Mochnacki, poseł do Rady państwa, członek Izby handlowej i wydziału krajowego.

Pożar. W Babinie, gub. podolskiej, zgorzała cukrownia. Straty wynoszą pół miliona rubli.

Zmarli. Dalloz, w Paryżu, redaktor pisma *Moniteur*.

— Fryderyk Carlson, uczony szwedzki, profesor uniwersytetu w Upsalii. Był nauczycielem wnuków królewskich. Pozostawił canne dzieło o wojnach z Polską w XVII w, za które akademia szwedzka mianowała go swoim członkiem.

— Prof. Sieber, w Berlinie. Zostawił pamiętnik pobytu w kraju naszym, z którego urywki drukowała *Breslauer Ztg* przed laty dwudziestu.

— Rudolf Jordan, malarz niemiecki rodzajowy, profesor akademii düsseldorfskiej. Ur. w r. 1810 w Berlinie, odznaczył się głównie jako malarz scen nadmorskich i rybackich.

— John Godfrey, znakomity poeta amerykański. Poezye jego tłomaczone były na wiele języków europejskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Cyb. Z bezimiennością korespondować nie możemy. Ze względu zaś na złożoną ofiarę, zastrzegając przytem naszą nieznajomość szczegółów wypadku, odpowiadamy: nie godzi się.

Stałemu czytelnikowi. Jeżeli Pan nie mógł w naszych uwagach „domacać się szczerego i jasnego zdania,“ to znaczy, że Pan od bardzo niedawna jest „stałym czytelnikiem“ *Prawdy*. Wielokrotnie bowiem mówiliśmy o krążeniu tych „gwiazd wielkich.“ Zdanie nasze jest bardzo „jasne“: 1) skoro istnieje obowiązek pracy dla swojego społeczeństwa, to on powinien ciążyć na wszystkich żywiołach, a więc i artystycznych; 2) jeżeli opinia od tego obowiązku uwalnia wielkich, nie powinna za pomijanie go karać małych. W przestrzeganiu zaś sprawiedliwości nie chodzi nam o „gwizdanie,“ ale o sądy prasy i publiczności.

P. K. Dind. Jak wyżej.

P. Grzeg. Lipczyńskiemu w Borowinie. Sprostowań omyłek cudzych nie zamieszczamy, zwłaszcza zaś sprostowań, dotyczących pisma, które naszą najdrobniejszą o nim wzmiankę zużytkowywa stale jako powód do napaści osobistej.

X. Z. Możemy tylko wraz z Panem uznawać pożyteczność takiej instytucyi, ale skoro ona nigdzie w życie nie weszła (o amerykańskiej szczegółowych objaśnień nigdzie nie spotkaliśmy), to tem mniej możliwą jest u nas.

J. Z. w Wiedniu. Są to rzeczy zbyt znane. Należy wybierać zagadnienia świeższe, bieżące.

M. K. w Jel. „Hist. fil.“ Lewesa: jest to wszakże książka od biedy.

A. S. w S. Tylko Lindego i wileński.

P. Z. w Wendenie. „O pojedynkach“ wysłaliśmy; „Historya“ Bobrzyńskiego w druku.

P. W. w Makowie. Żądany zeszyt wysłaliśmy; należy nam się kop. 25.

P. G. w Odessie. Dwie żądane książki posyłamy Szląsk wyjdzie dopiero w lipcu.

OFIARY.

Do rozporządzenia Redakcyi. U. D. N. rs. 20, — F. C. rs. 1.

Na szkołę rzemieślniczą. Jabłkowski rs. 1.

Dla studentów. Inżenier Czerniewski z Paszyi rs. 10.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Апрѣля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.